
Towarzysz Szmaciak czyli wszystko dobre, co się dobrze kończy

Straszny miał dzień towarzysz Szmaciak.

Ach, wprost odchodził od rozumu,

kiedy uciekać musiał w gaciach

ścigany wyzwiskami tłumu.

Zewsząd sypały się kamienie,

boleśnie bijąc go w siedzenie.

Na szczęście było — jak już wiecie —

tajemne przejście w komitecie.

Jeszcze ze strachu nie ochłonał,

a za nim już komitet płonał

i płonał w jego gabinecie

największy porno-zbiór w powiecie.

Wielka to strata! Bo, widzicie,

Szmaciak — koneser i esteta —

pozycje stamtąd wcielał w życie

na licznych schadzkach i baletach.

Lecz cóż tam slajdy! Pies je jebał!

Grunt, że się z tego sam wygrzebał!

Bo na cóż mu tam seks-figury,

gdy sam zamieni się w dym bury.

Teraz w swej willi siedzi Szmaciak,

już w spodniach w prążki, a nie w gaciach,

owinał przy tym się szlafrokiem

i pije scotch z wiśniowym sokiem.

Pije, bo się straszliwie martwi
pod kątem własnym i przyszłości
i bardzo źle myśli o partii,
a kierownictwie w szczególności.

„Coś się ta ryba nam od głowy
zaczyna psuć, bo, rozumiecie,
środek jest prima, dół jest zdrowy,
znaczy się: nie gra coś na szczycie.

Już drugi raz zawodzi góra.

Gdy krzyk się robi, dają nura!

A ty się tutaj gimnastykuj
z masami sam na sam na styku!

Wytycznych brak i pytam ja się,
a co z milicją jest w tym czasie!

Jak nie trza, to się wszędzie szwenda,
a tera znikła po komendach.

Już się pod gmachem motłoch zbiera,
na mieście straszny szum i draki,
a tu nikt ognia nie otwiera —

gdzie się podziały kabewiaki?

Pytanie, czyja to robota!

Bo coś mi się tak teraz widzi,
że w KC znów rewizjoniści
podnoszą łeb lub inni Żydzi.

Tak, niewątpliwie Żyd się zakradł
i teraz ciągnie gdzieś za sznurek!”

Tu Szmaciak znowu gołnął scotcha
i na zakąskę zjadł ogórek.

„To już się psuje nie od dzisiaj!

Odkąd zgnoli Mieczysława,
a Franek tyż z tej puli wysiadł
zaczęła śmierdzieć cała sprawa.
Przez zemstę Żyd tak rozzuchwalił
to całe pierdolone chamstwo!
Cóż będziemy tam dyskutowali!
Trza tylko widzieć fakty, jak są!

Przykłady? Są! Mój kumpel Zdzicho
nieletnią dorwał na balecie.
Stawiała się, więc dał w pyszczycho,
poza tym komilfo był. Wiecie.
Za to, że uniósł się troszeczkę,
dał jej rajstopy i bluzeczkę.
I co? Myślicie — koniec sprawy?
A skąd! Wzywają do Warszawy!
Taki tam rozdmuchali skandal,
że całkiem wykończyli chłopca,
bo musiał odejść z propagandy
i dziś jest u nas za kaowca!

I drugi przykład: Felczak, wiecie,
drugi sekretarz w Komitecie,
przez plener pruje swoim Fiatem
z szybkością stu, jak zwykle. Raptem
na szosę włązą dwa bachory.
Więc stuknął je, bo byłby chory,
jeżeli zjechałby na boki.
Tam, proszę ja was, spad wysoki.
Zgniótłby przód sobie, zdarł błotniki.

Jaki się podniósł rejwach dziki!
Cudem nie poszedł do więzienia.
I nie uniknął przeniesienia.

I trzeci przykład: Wzięlim chamów
raz do nagonki na zające.
Patrzę: kumpel już sześć ustrzelił,
mój cham wałęsa się po łące!
Tak zdenerwował mnie chamisko,
że mi zwierzyny nie nagania,
żem doń wygarnął — ot i wszystko!
Wypadek podczas polowania!
Żeby go chociaż mocno zranił!
Lecz ja go tylko śrutem w tyłek!
Gdyby nie interwencja Tępy,
starliby mnie tam w proch i w pyłek!
Do czego doszło? Żeby szlachtę
przed sądy pozywały chłopcy!
To cud, że jeszcze za koncesję
prywaciarz nam odpala hopy!”

Tu znowu gołnął. Że się wkurwił,
poprawił trzema. Raz za razem.
We łbie mu trochę zaszumiło.
Jest, jak to mówi się, pod gazem.
Więc się rozrzewnił nad swą dolą:
„Za co, się pytam — woła — za co
wypróbowanym towarzyszom
tak złem za wierną służbę płacą?!

Chłopiędem będąc, ja w ZWM
ogniową przechodziłem próbę
i, z narażeniem, na plebana
donosy przynosiłem UB.

Potem, gdy wciągnął mnie aparat,
szczególnie zaś referat rolny,
jakżem ofiarnie walczył z stonką,
sówką chojnowką, żukiem polnym!

Także na polu rozkułaczeń
niemałe miałem rezultaty!

Twardo ścigałem kontyngenta:
kto nie chciał dać, to zara baty!

A później, kiedy zmienił kurs się,
to kto bez żalu i szemrania

do zjednoczenia PGR-ów
poszedł na szefa planowania?!

Z jakim to materiałem ludzkim
jam się użerał — cóż wy wiecie! —
zanim mnie Rysiek tuż przed Marcem
tu nie osadził na powiecie?!

Spokojnie było. Choć syjonizm
także zapuścił swe korzenie
i Pawlak, personalny w ZG,
był Żyd, choć się zaklinał, że nie!

Na ogół jednak szafa grała,
bo choć kombinat tutaj mamy,
nie było żadnych strajków w grudniu
i cały czas tyrały chamy.

Potem pod hasłem «Pomożemy!»
szukałim, wiecie, tych miliardów.

Niestety! Nic my nie znaleźli.
Przecie tu Pcim, nie wyspa skarbów!
A jak umieli my dla władzy
wpoić tu posłuch, respekt, miłość!
Do czerwca bieżącego roku
żadnych warchołów tu nie było!
Więc człowiek rósł i szedł do góry,
ukończył studia bez matury,
niejedno dostał odznaczenie.
I nagle — takie zaskoczenie!”

Szmaciak się znowu wkurzył wielce
i zaczerwienił się na karku.
Że widać było dno w butelce,
po „żyto” sięgnął więc do barku.
„Żyto” jest ostre. Gdy przez przetyk
przeszła mu tego „żyta” struga,
Szmaciak się jeszcze bardziej zeźlił
i teraz na całego ruga:

„Do kurwy nędzy! Wy ciapciaki!
Matoły, koły! Wy barany!
Do czegośta doprowadzili
ten nasz ludowy kraj kochany!
Ludzie, powiedzta, komu służem!” —
Tu straszny rzucił im epitet. —
„Kto słyszał — pytam — żeby motłoch
podchodził w Pcimiu pod Komitet?!
Co więcej, on go nawet spalił,
spalił go, mówię, żywym ogniem.
A mnie, sekretarzowi swemu,

ściągnęli kurtkę, jak i spodnie!
Kto tak rozbestwił tę hołotę?!
Ten foks ze Śląska — jakież to wał!
Wiesiek, gdy raz mu zaszurali,
to on się chociaż konfrontował!
I gdyby Grzesiek zdołał jeszcze
te stocznie zbombardować, toby
motłoch nie włożył nam na głowy
i człowiek czułby się bezpiecznie.
A tak, to aż się chamy trzęsą,
lecz nie ze strachu, a z wściekłości —
więc albo dajta im to mięso,
albo też im połamta kości!
Trzeba się na coś zdecydować.
Bo tak, to tylko można wściec się!
Proszę, ja mogę być leberał,
tylko wy o tym mnie powiedzcie!
Musi być jakaś dyrektywność,
nie to dreptanie w miejscu wieczne,
bo tak, to kadra się załamie,
co może stać się niebezpieczne.

Dzwonię ja dzisiaj do Maczugi —
Maczuga to komendant MO —
i go się pytam: «Co jest, Wacek?»,
a on mi pieprzy nie na temat!
No, moi drodzy, w tych warunkach
pracować — żałość to i smutek!
Cóż to, mam dla ich przyjemności
Ordona robić tu redutę?!
Przyszłość ja widzę całkiem czarno,

to może skończyć bardzo źle się...”
Więc dla kurażu chlusnął w gardło,
tak wprost z butelki, ze dwie trzecie.
Coś jeszcze bredził, coś bełkotał,
ale powoli ostygł zapał.
I Szmaciak zsunął się z fotela,
rozdziawił gębę i zachrapał.

Śpi ciało. A tymczasem dusza
w mroczną krainę snu wyrusza.
Sen to dziedzina zagadkowa,
niejedną niespodziankę chowa,
bo choć udaje często jawę,
rządzi się jednak własnym prawem,
będąc zaś tylko urojeniem,
zawsze ukryte ma znaczenie.

Śni Szmaciak sen zgoła banalny:
budzi we własnej się sypialni,
ale mu bardzo ciąży głowa.
Wiadomo, pił, to rzecz nienowa.
Picie, jak o tym dobrze wiecie,
jest zawsze w modzie w komitecie.
Po picciu kac jest, puchnie ryło...
Więc jakby nic się nie zdarzyło,
Szmaciak, że jest w działaniu prędko,
zrywa się, biegnie do łazienki,
by tam dokonać toalety,
staje przed lustrem i ... o rety!
Nie może być! Przeciera oczy,
myśląc, że kac go jeszcze mroczy.

Potem paznokcie w ciało wbija,
lecz wszystko na nic! Widzi ryja!
Ogląda w lustrze ryj krytycznie —
no, nie jest znowu tak tragicznie!
Od twarzy znów tak różny nie jest!
Więc gdy poleje go Yardleyem,
da na to krem, a potem puder,
odróżnić będzie można z trudem.
A zresztą kładzie na to lagę!
On przecież w Pcimiu ma powagę
i tak jest wielka jego władza,
że tych, co będą nosem kręcić,
przepędzi zewsząd i powsadza —
ma ryj, lecz ma go z własnej chęci!

Tu bardzo groźnie coś zachrząkał
i z wielkiej złości puścił bąka.
„Tera już całkiem świnia jestem!” —
oświadczył lustru z dumnym gestem.
Do Komitetu! Rządzić! Władać!
Zależć za skórę! Bobu zadać!
Niech płaszczą się przed groźnym wieprzem!
„Płaszczącym się ja też przypieprzę!”

Tu, jak to często we śnie bywa,
wątek znienacka się urywa.
Szmaciak jest w Pcimiu. Zlany potem
do KW pruje na piechotę.
Czemuż nie pędzi czarną Wołgą
z szoferem, patrząc zza firanek
z pogardą na rozlazłe miasto?

Ach, sny są pełne niespodzianek!
Miasto zaś nie jest dziś rozlazłe —
i idąc mija grupki ludzi,
w których — o zgrozo! — jego wygląd
niezwykłe rozbawienie budzi.
„Palcem mnie pokazują, chamy! —
myśli ze złością — Ach, wy, śmiecie,
jeszcze ze sobą pogadamy,
kiedy zasiądę w Komitecie!”
Lecz tak kapryśna jest snu fala,
że wciąż Komitet mu oddala.
O! już za rogiem się wyłania,
gdy wtem go senna mgła pochłania.

Szmaciak się nagle znalazł w tłumie,
tłum krzyczy coś, on nie rozumie,
jest przerażony i wstrząśnięty.
Nagle spostrzega transparenty:
„PRECZ Z SAMOWOLĄ APARATU!”
i „WŁADZA DLA PROLETARIATU”,
i „ŚMIERĆ KRWIOPIJCOM KRWI ROBOCZEJ”,
aż z orbit mu wyłazą oczy
i latać mu zaczyna grdyka.
Nagle ktoś palcem go wytyka,
tłum nań napiera, krzycząc: „Sznura!”
Na szczęście zdążył dać w czas nura.

Sen szybko swe obrazy zmienia.
Szmaciak już nie drży z przerażenia,
ale jest w środku w Komitecie,
i to we własnym gabinecie.

Lecz — rzecz to całkiem niepojęta —
jest w charakterze tam petenta,
za biurkiem zaś nie siedzi Szmaciak,
ale ubrany w brudny waciak
Deptąła, majster z Kombinatu.
„O, Matko Święta! Ty mnie ratuj!” —
pomyślał Szmaciak, bo z Deptąłą
niejedno mu się rymowało.

Deptąła to osobny rozdział
w życiu naszego bohatera.
Niejeden raz tego Deptąłę
on zdeptał już i sponiewierał.

Pierwszy raz zetknął się z Deptąłą,
gdy Nowe na wsi zaświtało
i kiedy oddał się w całości
szerzeniu wiejskiej spółdzielczości.
Chłop ciemny nie chciał do kołchozu
i gad kułactwa wznosił głowę,
trzeba więc było zastosować
metody ostre i surowe.

A że ruch musiał być oddolny
i całkowicie dobrowolny,
musieli dzielni z UB chłopcy
często pejzanów brać pod obcas.
Więc Szmaciak jeździł, chłopów zbierał,
a gdy się któryś zbyt opierał,
to tak go długo kopał w nery,
aż wzbudził w nim entuzjazm szczery.

Niestety we wsi Wądół Kaczy

z nasieniem zetknął się sobaczym.

Tępy, uparty chłop Deptała,
choć brać ubecka tego prała,
a nawet mu duszono grdykę,
psuł Szmaciakowi statystykę.
Szmaciak się zawziął nań okropnie
i pewny był, że swego dopnie.

Tak też się stało. Gdyż fortuna
odważnym sprzyja. Wielka łuna
rozbłysła nagle nad Wądołem
i ogień z hukiem żre stodołę.
Płonie stodoła w PGRze,
pusta zupełnie, mówiąc szczerze,
bo kiedy nadszedł okres siania,
wszyscy chodzili na zebrania,
więc cały zapas, co był, ziarna,
już nie, że wroga stonka zżarła,
ale go zwykłe szare myszy
skonsumowały w wielkiej ciszy.

Wiadomo, ognia bez przyczyny
nie ma. Jak jest, to z czyjejś winy.
Wróg niewątpliwie go podłożył,
wróg, bo go Nowe we wsi trwoży,
więc udaremnić chce nam zbiory,
pola zamienić zaś w ugory,
by miast spółdzielczych jasnych łąków
kwitła tu znowu władza panów.

Ten wróg ohydny to Deptała!

Wsi czarna owca i zakąła!
Z kim w znowie był, wykaże śledztwo!
Natychmiast do Urzędu wlec go!
Już czeka dzielnych chwatów czwórka:
Szmaciak, Maczuga, Buc i Rurka,
trzech jest w cholewach i w mundurze,
a Szmaciak jako cywil w skórze.

Chłop już ocieka zdrowo juchą,
bo jak go wieźli, dostał w ucho.
Strasznie to chłopców rozczmuchało,
że pobrał już zaliczkę małą.
„Zaraz dostaniesz resztę, wszarzu!” —
wykrzyknął z rozbawioną twarzą
Maczuga — i jak nie doskoczy —
i lu go pięścią między oczy!

A potem Buc, a za nim Rurka
i Szmaciak. W końcu cała czwórka
prała go, że aż szło dudnienie:
to w nery kop!, to w przyrodzenie!,
to w zęby!, w żebra! Aż sapali
z wielkiej emocji — i wciąż prali.

Wreszcie się wyczerpała werwa.
Na papieroska mała przerwa.
Z rozkoszą dym wciągają w płuca,
Szmaciak już jakiś żarcik rzuca...
Patrzą, co dzieje się z Deptałą,
i aż ze śmiechu ich zatkało,
bo widok był niezmiernie draczny:
po ziemi pełzał cham pokraczny,

znacząc po sobie ślad posoką,
a z gęby mu spływało oko.

Wszyscy dostali odznaczenia
za wielce bohaterski wyczyn
i Szmaciak szybko szedłby w górę,
gdy nagle z niepojętych przyczyn
wszystko raptownie się odmienia.
Cofają dawne odznaczenia,
jest czystka w rolnym referacie,
unieważniają nominacje,
o dzielnym mówią zaś Urzędzie,
że w wypaczeniach trwał i błędzie.
Szmaciak był blady, w nerwach cały.
Przyszło zwolnienie dla Deptały —
i ten zakąła, wróg niedawny,
zaczynał być w powiecie sławny,
bo dostał rentę niewysoką
i na koszt państwa szklane oko.

Na szczęście były w partii siły,
co kres tej orgii położyły.
„Owszem, przegięto nieraz pałę,
ale zasługi tyż niemałe
w minionym mieli my okresie,
toteż wydaje słusznym mnie się,
aby nie tolerować dłużej
krytyki, która wrogom służy.
Że był niesłuszny kult jednostki,
wyciągniem z tego słuszne wnioski
i zmienim politykę rolną,

lecz ludzi krzywdzić nam nie wolno!”

Tak, strach ma zawsze wielkie oczy.

Nie dawać mu się! Więcej męstwa!

I Szmaciak znowu pewnie kroczy

po nowe laury i zwycięstwa.

Bez żalu rzucił Wądół Kaczy,

na los już więcej nie sobaczy,

wie, że mu partia ufa, a to

z sowitą łączy się zapłata.

Już z nowym wrogiem toczy walkę,

już ma lodówkę, wózek, pralkę,

żoneczkę — tłustą badylarę

i z nią rozkosznych dzieciaków parę.

Pruje ku górze, rośnie w piórka,

zajmuje coraz lepsze biurka,

aż wreszcie w nowej czas odnowy

staje się władcą powiatowym.

Że Szmaciak jest kombatant sławny,

ściąga do Pcimia kumpli dawnych,

na stanowiskach ich osadza,

przez co się bardzo wzmacnia władza.

Maczuga jest milicji szefem,

Rurka, że ma na karku głowę,

jest dyrektorem kombinatu,

a Buc ma związki zawodowe.

Kombinat Szmaciak nie bez racji

uznał za teren kombinacji

i razem ze swych kumpli trójką

stał się naczelną jego dójką.

W systemie centralnego planu
prosta dojenia jest technika,
bez żadnych bowiem ograniczeń
można tu doić robotnika.

Nad tym, jak doi się centralnie
przez plany, normy, płace, ceny,
nie trzeba wcale się rozwodzić,
bo wszyscy to dokładnie wiemy.
Lecz w tym tkwi całej rzeczy sedno:
doić dla góry to jest jedno,
a drugie: „No, kochani moi,
dla siebie trzeba tyż podoić!
Nie po to znieśliśmy kult jednostki,
by bogaciły się jednostki,
zaś równość na tym się zasadza,
aby doiła wszelka władza!”

Każdy tak doi, jak potrafi,
zależnie od formatu główki.
Maczuga, że zbyt bystry nie jest,
doi nachalnie, przez łapówki;
Buc, który jest na forszę łasy,
sprzedając prywaciarzom wczasy;
zaś w Rurce nędzne ich dojenie
budzi po prostu obrzydzenie.

Rurka jest głowa i zna życie,
wie, że by doić należyście,
trzeba się włączyć bez wahania
w centralny system planowania.

Jako tłocząco-ssącą pompę
widzą ten system jego oczy,
która jak gigantyczne serce
pompuje z dołu, z góry tłoczy.
Z dołu ssie pompa ludzką pracę
bardzo zachłannie, metodycznie,
by ją przerobić w swych komorach
na płace oraz inwestycje.
Płace spływają wąską rurką,
a inwestycje — wielką rurą,
co jak najściślej jest związane
z systemu celem i naturą.
Nie temu bowiem system służy,
by prolet gnuśniał w dobrobycie,
lecz aby wizje gigantyczne
tytanów myśli wcielać w życie.

Lecz wizje te pełne poezji
nie podniecały wcale Rurki.
„Poezji — mawiał — to nikt nie zji!”
Jego zaś obchodziły kurki.
Rurka od dawna snuł marzenia,
aby w centralną sieć dojenia,
gdzieś w plątaninie rur i rurek
malutki zamontować kurek.
Lecz choć tak bardzo o tym marzył,
sam by się nigdy nie odważył
i kiedy inni wielkie krany
wkręcali w rur systemu ściany,
wciąż trwał w bezczynnie i niemocy,
o małym kurku śniąc po nocy.

Lecz oto karta się odwraca:
do Pcimia go przyzywa Szmaciak.
Tu Rurka, mając w ręku wszystko:
kumpli, zaplecze, stanowisko —
plus swoje własne dobre chęci,
nareszcie w system kranik wkręcił.

Kombinat był na Pcimia miarę,
a Pcim — miasteczko zapyziałe,
ot — większa wiocha, tylko rynek
od wsi go różnił odrobinę.
Na rynku — knajpa. W dni targowe
chłop tam nad kuflem zwieszał głowę
albo setkową, dużą stopką
wlewał do gardła pcimkę z kropką,
czyli spirytus z kroplą wódki.
Gdy rozum stawał się zbyt krótki,
straszliwe w rynku mordobicie
mąciło gnuśne pcimian życie.
W Pcimiu też było dwóch kowali,
co konie zręcznie podkuwali,
był dekarz, co krył papą dachy
i blacharz, który robił blachy
do wozów chłopskich, gdyż te wozy,
brnąc poprzez słynne pcimskie piachy,
na kołach, aby ich nie zetrzeć,
miały obręcze z grubej blachy.
Obręcze pcimskie były sławne.
Nawet w odległej Dolnej Bździnie
wiedziały całkiem małe dzieci,
że Pcim z obręczy przednich słynie.

Taki był Pcim dawnymi laty,
gdy na najwyższych władzy piętrach
postanowiono, by powiaty
tworzyły robotnicze centra.

Nie uprzemysłowienie jednak
było tu celem i niezmiernie
myli się ten, co by tak sądził —
bo to o dusz szło inżynierię.

„Chłop jest niezmiernie zacofany,
przez co posiada aż dwie dusze,
stąd też w połowie jest kułakiem,
w połowie zaś proletariuszem.

Naszym zadaniem, towarzysze,
jest poprzez industrializację
wytrzebić w nim tę pierwszą duszę,
natomiast drugiej uznać racje.

Niech więc w zapadłej każdej dziurze
zakłady wnet powstaną duże,
najlepiej huty lub kopalnie —
to byłoby wręcz idealnie!

Zaś gdzie warunków brak, powiaty
niechaj budują kombinaty!”

Pcim słynny był z wyrobu serów,
lecz ser dostarczyć mógłby żeru
reakcji, co je sery w poście.

W przemyśle bez wartości ser jest.

Postanowiono więc obręczy
do kół wytwarzać długie serie.

Gdy władzę twórczy szął ogarnie,

to nie ma dla niej rzeczy trudnej —
upaństwowiono więc blacharnię,
a blacharz poszedł siedzieć w pudle.
A potem fury pełne cegły,
wapna, żelaza i cementu
brnęły przez piachy i zaczęto
kłaść pod kombinat fundamenty.

Tak rozpoczęła się budowa,
a osobiście nią kierował
pcimski sekretarz — Piotr Wardęga.
Wardęga w Pcimiu był potęgą,
działał szeroko i z rozmachem,
więc gdy postawił już na blachę,
to nie istniała w Pcimiu siła,
co by go z drogi zawróciła.

Wardęga próżny był piekielnie;
chciał mieć kopalnie i cegielnie,
chciał także wznieść olbrzymią hutę,
lecz z głowy myśl ktoś wybił mu tę,
tłumacząc długo, że na furze
trudno przewozić piece duże,
ta zaś kopalnia w Pcimiu piachu
nie potrzebuje wcale dachu.
Dał więc Wardęga za wygraną
i w rezultacie zbudowano
fabrykę gwoździ i wyrobów
blaszanych — istny raj nierobów.

Budowa trwała cztery lata,

zmieniło się oblicze świata,
zrodziły nowe się pomysły
i z blach obręcze z mody wyszły.
Lecz długość życia raz wstawionej
do planu rzeczy jest dziś sławna,
dlatego nie ma nic dziwnego
w fakcie, że o tym, iż od dawna
wozy już mają ogumienie,
nikt nie pomyślał. Dziś myślenie
przynosi tylko same szkody
i skutek tego wyszło z mody.

Fabryka robi ciągle blachy,
na które dawno nie ma zbytu,
jednakże inny jest referat
podaży, inny zaś popytu.
Wyników ich nikt nie uzgodni,
bo ileż by zajęło to dni!
Zresztą odnośni referenci
są wciąż czym innym pochłonięci.
Produkcja idzie. Puchną składy
i pcimian strach ogarnia blady;
szczęściem na skutek blach korozji
nie doszło w Pcimiu do eksplozji.

Kiedy się Rurka zjawił w Pcimiu,
kiedy zobaczył napis szumny
i wszystko, co się pod nim kryło,
pomyślał sobie: „Gwóźdź do trumny!
Żegnaj, kariero, bo w tym grobie
kariery nigdy ja nie zrobię!”

Chciał uciec, się usunąć w cień już.
Lecz oto — cóż to znaczy geniusz!

Przelotna myśl o trumnie, grobie,
nagle w bezcennej jego głowie
w cudowny sposób się kojarzy
z migotem świec, blaskiem ołtarzy,
bogactwem i potęgą kleru,
bezrefleksyjną wiarą ludu
i tajemniczym słowem „przerób” —
genialny mózg dokonał cudu!
Już ma koncepcję oddojenia:
wszystkie te blachy pozamienia
na medaliki i krzyżyki,
ryngrafy, małe ołtarzyki,
a każda blacha rozmieniona
to kolosalna wprost mamona!
Rozkupią wszystko księża, chłopci,
dewotki, młodzież, nawet popi,
bo odkąd z klerem trwa batalia
i święty obraz porywają,
wzrósł popyt na dewocjonaalia
przeszło dwukrotnie w całym kraju!
Tu Rurka poczuł się jak Midas:
to, czego dotknie, w złoto zmienia!
A choć nie wiedział, kto to Midas,
wybornie sztukę znał dojenia.

Zakład natychmiast zwiększył plany,
już prol się po nim nie wałęsa,
lecz tyra wciąż na cztery zmiany

za nie zmienioną nędzną pensję.
Bo cóż właściwie się zmieniło?
Jedynie blach do wozów ilość.
Nie wykazano przecież w planie,
że jakość też uległa zmianie,
gdyż religianckie talizmany
szpeciłyby laickie plany,
poza tym mógłby prokurator
dostęp do kranu odciąć krata.

Oparty o bezbożną władzę
rozwija się interes święty
i naszych dzielnych chwatów spółka
zgarnia krociowe dywidendy.
Ach! nie masz to, jak życie w Pcimiu!
Po prostu istna to idylla!
W nowej dzielnicy Zbójnikowo
za willą się buduje willa!
Powstał też w mieście klub rajdowca,
nocny kabaret „Czarna owca”
i, choć się o tym mało słyszy,
przytulny puff dla towarzyszy.

Pewnego dnia do gabinetu,
w ukłonach gnąc się, wszedł Wylizuch,
ten z socjalnego, i powiada:
„Ja, towarzyszu, w sprawie zgryzu.
Zgryz mamy mianowicie taki:
zgłasza się majster z kombinatu,
że mu niesłusznie wymówiono.
«To nie nasz resort — mówię na to —

idźcie z tym do prezesa Buca.»

Buc takich to za kark wyrzuca.

Lecz on już był i się upiera,

że to jest sprawa partii teraz.

«Wyście jest partia robotnicza —

powiada — więc ja z tej żalości,

jako że sam robotnik jezdem,

was prosić chcę sprawiedliwości!»

Widać, że tępy jest to pacan,

a tacy, mówiąc między nami,

lubieją wciąż rozrabiać wyżej,

więc proszę — zdecydujcie sami.”

Szmaciak w szampańskim był humorze,

wczoraj sukcesy miał nielada,

bo wygrał rajd do Górnej Bździny

i szyku na balecie zadał.

„Sprawiedliwości szuka? Tutaj? —

krzyknął — A to dopiero wariat!

Dajcie go! Niech me oczy ujrzą

ten uciśniony proletariat!”

Z radości aż zaciera dłonie —

on tego chłopca zrobi w konia!

Wysłucha; że się przejął, uda;

a potem dzieć się będą cuda!

„U nas, widzicie, w Pcimiu robot

nie jest bezczelny i nachalny,

ponieważ tu panuje jeszcze

dobry obyczaj feudalny.

My tu z chamami ceregieli

nie robim. A jak jakie śmiecie
zaczyna podskakiwać, to go,
nim się obejrzy, z miejsca zmieciem!”

Lecz sprawa tak z pozoru łatwa
ni stąd, ni zowąd wnet się gmatwa,
bo rzecz się niesłychana stała:
do gabinetu wszedł... Deptała!

Jak Makbet, kiedy widmo Banka
stanęło przed nim wśród biesiady,
Szmaciak z wrażenia zaniemówił
i zrobił się śmiertelnie blady.
Bo choć Szekspira nie był znawcą,
lecz zawsze stropi się oprawca,
kiedy znienacka mu ofiara
swe żale się wyłuszczyć stara.
Nie dziwno więc, że doznał szoku.
Już dawno o wybitym oku
i o wyczynach swej młodości
zapomnieć zdołał. Te wspomnienia
zaczęły go niezmiernie złościć,
kiedy się wynurzały z cienia.
Choć ciągle upatrywał chlubę
w młodzieńczej swej współpracy z UB,
pod wpływem własnej propagandy
już zaczął wierzyć, że to bandy
były straszliwe i potężne,
z którymi boje staczał mężne,
swe młode narażając życie —
a nie bezbronnych chłopów bicie.

I nagle drab, co przed nim stanął,
wywleka prawdę nielubianą,
szczerbę w przepięknym robiąc micie —
takie to figle płata życie!

Szybko się jednak opamiętał
i czujnie spojrzął na petenta.

Nie trzeba wpadać wprzód w wariację,
nim się rozpozna sytuację.

Już maluteńki jego mózdzek
jak bardzo sprawny komputer
zaczął obliczać błyskawicznie
rozlicznych możliwości szereg.

Pierwsze pytanie się wyłania:

Kto mu tu nasłał tego drania?!

A potem drugie: W jakim celu
zjawia się tu po latach wielu?

Szmaciak nie wątpił ani chwili,
że się w tym kryje gdzieś intryga
i że nie zjawił się przypadkiem,
zebrząc o łaskę, ten dziadyga.

Przypadek byłby to zbyt rzadki.

A czy w ogóle są przypadki?

Prędzej ugryziesz własny zadek,
nim trafisz w Pcimiu na przypadek!

Szmaciak jest czujny. Wszak niedawno
batalię stoczył w Pcimiu sławną
o władzę, w której stał Wardęgę —
pcimską wyrocznię i potęgę.

Wykazał przy tym wielką klasę,

wykończył bowiem go z hałasem.
Jak? O tym jeszcze mowa będzie.
Lecz choć się rozparł na urzędzie,
choć był wszechwładnym w Pcimiu panem,
to czasem budził się nad ranem
w śmiertelnym strachu, że Wardęga
podstępnie znów po władzę sięga.
Ach, co tu gadać! To dziadzisko
z niejednym bonzą było blisko
i choć dziś był zupełnym zerem,
jeżeli zwietrzyłby aferę,
mógłby podesrać mu ohydnie,
bo to jest wredne, mściwe bydlę
i ma tu wtykę, a ta wtyka
w Szmaciaka sprawy nos wciąż wtyka!

Deptąła, jak to stary prolet,
ględzi bez ładu coś i składu,
to żali się na ciężką dolę,
to znów swe życie opowiada,
jak gospodarzył, potem przestał,
bo podpalono we wsi szopę.
Szmaciak by go już dawno zbeształ
i posłał za drzwi tęgim kopem,
lecz wciąż ta myśl go niepokoi,
że ktoś tu za tym dziadem stoi
i nasłał tego tu matołka,
aby wysadzić go ze stołka.
Spokojna czaszka! No bo takie
numery — to nie ze Szmaciakiem!
Trza tylko kapnąć, w czym jest zdrada,

a potem rozgnieść tego gada!

Więc chociaż nudzi go szalenie
rozwlekłe prolskie to ględzenie,
nadstawia ciągle czujnie ucha,
pewien, że w końcu się dosłucha.
Żeby się jednak dziad nie strwożył,
na twarz łaskawy uśmiech włożył
i spod tej maski chyłkiem, boczkiem
świdruje go swym chytrym oczkiem.

Deptąła swą opowieść snuje:
jak poszedł pracy szukać w mieście,
jak się tam różnych zajęć imał,
jak poszcęściło mu się wreszcie
i los skierował go do Pcimia.
W Pcimiu kombinat powstał właśnie
i były tam wysokie płace,
lecz brakło ludzi, więc Deptąła
natychmiast dostał dobrą pracę.
Że się w robocie wnet odznaczył,
posłano go na kurs spawaczy.
Zły los więc wreszcie się odmienił.
Deptąła w Pcimiu się ożenił,
bachorów spłodził całą furę,
słowem, powoli piął się w górę...

Lecz nie jest to fakt bez znaczenia,
że rzeczywistość wciąż się zmienia...

Po latach, hen, na samej górze
dziać się zaczęły rzeczy duże,

gdyż Bagno ze swą silną grupą
postanowili ruszyć kupą.
Nie były wcale to przechwałki.
Grupa za sobą miała pałki!
Gdy nie stać cię na długie noże,
pałką też wiele zdziałać możesz.
Poza tym nóż to rzecz germańska,
a pałka nasza — prastowiańska,
i pewien car tak pałki lubił,
że się przydomkiem „Pałkin” chlubił.
Pod rząd łyknąwszy trzykroć sto gram,
Bagno wysunął nowy program,
w tym zaś programie leżał ogrom,
że to nie program był, a pogrom.

Gdy stary Gnom wciąż na mównicy
wyliczał komy i procenty,
Bagno i jego harcownicy
chyłkiem włązili na urzędy.
Mówiono nawet o nich: „cisi”,
lecz im to określenie wisi,
bo wnet pozycję swą utwardzą,
a wtedy będą głośni bardzo.
Najwyższy czas zmienić aparat!
Wśród ciągłych zebrań, swarów, narad
zgnuśniała całkiem kadra stara,
a tu już czeka nowa wiara,
zwarta i prężna, i gotowa
wszystkich za mordę wziąć od nowa!
Że atrakcyjność starych zgasła,
wysuwa ona nowe hasła.

Jej hasła: „Naród” i „Koryto”!
Narodem oni są niby to.
Cóż to za „oni”? Któż to taki?
To jasne. Oni — to Szmaciaki!

Kiedy powoli kraj nasz cały
zbrodniczej bredni cień pokrywał,
oni w tym cieniu dzielnie rośli
jak grzyb trujący i pokrzywa.
Szmaciaków wyhodował ustrój
ze trzy już chyba pokolenia.

Pierwsze wkroczyło na arenę
tuż po tak zwanym wyzwoleniu.
Szeregi zasilając partii,
czynili jednak to z rezerwą,
nie byli bowiem jeszcze pewni,
czy kiedyś za to nie oberwą.
Lecz ustrój przetrwał pierwszą próbę,
wstąpili zatem i do UB,
albowiem mając szmal na względzie,
gdzież lepiej działać niż w Urzędzie?!

W Urzędzie dają broń i władzę,
a wokół kraj jak Zachód Dziki,
można więc dobrze nabić kabzę,
i to w dodatku bez ryzyka.
Szmaciaki, że nie bite w ciemię,
na Odzyskane pędzą Ziemie,
tam w wielki się włączają szaber,
bo każdy z nich jest *homo faber*.

A jeśli któryś z nich był chory
lub jechać nie mógł z innych względów,
to przecież ma na miejscu dwory,
do których wkracza się z Urzędu.
Rzecz jasna, że i dla idei
potrzeba skopać porcję nerek
lub za bezdurno w łeb czyjś strzelić —
wszak kosztą każdy ma interes.

Szmaciaki nie dla przyjemności
łamią ci kości, duszą grdykę,
ale dlatego, że ich byznes
ma taką dziwną specyfikę.
Choć niebywały mieli sprycik,
wciąż im trudności sprawiał diament.
Założyć można więc, że tutaj
późniejszy się zawiązał dramat.
Bo chociaż oni naszej partii
tworzyli trzon niezwykle zdrowy,
w wejściu na same szczyty władzy
stale im przeszkadzały głowy.
Szmaciak jest urodzony praktyk
i nie ma serca do teorii,
a wówczas tylko małamedzi
w partyjnej mogli chadzać glorii.
Nie mogąc małamedom sprostać,
musieli wnet kompleksów dostać,
bo jak nas uczy Freud profesor,
w człowieku rodzi się agresor,
gdy mu o sobie złe mniemanie
nasunie z innym porównanie,

gdyż nikt nie godzi się z ochotą
z tym, że jest zwykłym idiotą.

Ze wszystkich rzeczy świata Szmaciak
tych dwóch najbardziej nienawidzi:
pierwszą z nich jest inteligencja,
a drugą oczywiście Żydzi.
Dlatego, jak to wszem wiadomo,
Szmaciaki duszą są pogromów,
a także lubią „białą rączkę”
przyprawić o śmiertelną drżączkę.
Lecz chociaż było to wiadomo,
niezwykle w partii hołubiono
Szmaciaków pierwsze pokolenie.
W poezji byli w wielkiej cenie,
wszystkie partyjne pięknoduchy
wielbiły ich w spiżowych strofach
i w wierszach stale się pojawiał
to zuchowaty z UB chłopak,
to major, który ciemną nocą
zadyszki dostał, wroga grzmocąc,
i innych bojowników roje —
Szmaciaki zaś wiedziały swoje.

Tak się historii koło kręci,
że najpierw są inteligenci,
co mają szczytne ideały
i przeobrazić świat chcą cały.
Miłością płonąc do abstraktów,
najbardziej nienawidzą faktów,
fakty teoriom bowiem przeczą,

a to jest karygodną rzeczą.

Kochają Ludzkość i Człowieka,
ale człowieka przez „C” duże —
ideę, która buja w chmurze;
toteż ich żywy człowiek wścieka,
gdyż będąc tej idei cieniem,
zarazem jest jej wypaczeniem —
empiria bowiem bardzo brudzi
teoretycznych, czystych ludzi.

W świecie im nie podoba to się,
że wciąż pogrąża się w chaosie
i że nie rządzi nim Zasada,
którą u podstaw się zakłada.

Wielkim nieszczęściem jest ludzkości,
że ma sąd błędny o wolności,
bo stąd się zło największe bierze,
że nie żyjemy w falansterze,
lecz każdy pragnie w pojedynkę
zdobyć dla siebie szczęścia krzywkę.

Oburzające to dążenie
gmatwa historii bieg szalenie
i zwodząc ludzkość na manowce,
uniemożliwia wszelki postęp.

Wokół się dzieją potworności,
szaleją dzikie namiętności,
egoizm oraz zysku żądza
straszliwe orgie w krąg urządza,
odczłowieczona zaś jednostka
o wspólne dobro się nie troska
i w walce jednostkowych racji

ulega całkiem alienacji.

Ludzkość to całość, jak wiadomo,
a nie zaś zbiór, gdzie byle *homo*
może na własną rękę rościć
sobie pretensje do wolności.
Za filozofa idąc radą,
nareszcie sobie to uświadom,
że Wolność właśnie tkwi w przymusie
i z entuzjazmem poddaj mu się.
By mogła zapanować Równość,
trzeba wpierw wdeptać wszystkich w gówno;
by człowiek był człowieka bratem,
trzeba go wpierw przeciwiczyć batem;
wszystko mu także się odbierze,
by mógł własnością gardzić szczerze.
Ubranko w paski, taczka, kilof
niezwykle życie ci umilą,
a gdy już znajdziesz się za drutem,
opuści troska cię i smutek
i radość w sercu twym zagości,
żeś do Królestwa wszedł Wolności,
gdzie wreszcie będziesz żył godziwie,
tyrając w twórczym kolektywie.

Tak sobie owi mędracy mili
wszystko przepięknie wymyślili.
Lecz człowiek marną jest istotą
i zamiast poddać się z ochotą
ich świątym i zbawiennym rządóm,
hołduje starym wciąż przesądom,

że zaś zepsuty jest do gruntu,
ucieka nawet się do buntu.
By można było ludzkość zbawić,
trzeba się najpierw z nią rozprawić,
bo tylko z morza krwi i męczarń
zrodzi się przecudowna tęcza.
Zatem do dzieła! Lecz niestety!
Ci bezlitośni myśliciele
tylko w teorii poczynają
sobie tak dzielnie i tak śmieie.
Bo chociaż zabijanie ludzi
niezwykły w nich entuzjazm budzi,
sami są tacy jak de Sade,
co ksiąg swych własnych nie szedł śladem,
lecz był ponurym idiotą,
co piękne róże rzucał w błoto.
Zanim więc wielką rzeź rozpoczną,
wprzód gwardię muszą mieć przyboczną,
która ich krwawe fanaberie
będzie wcielała w życie serio.
W trzasku gilotyn, w salwy huku
ideał sięga wreszcie bruku.

Muzyki miłej tak dla ucha
w swym gabinecie mędrzec słucha
i dumny, że dokonał cudu,
myśli o gwardii: to kwiat ludu!
Prawdziwi to idealisci,
bo nie dla własnej swej korzyści,
lecz dla przyszłego szczęścia świata
spełniają szczytną misję kata!

Tak myśląc, błąd popełnia gruby,
załątek swojej przyszłej zguby.
Kto w szpony dostał się hipostaz,
rzeczywistości już nie sprosta,
bo spoza gęstej mgły abstraktów
najprostszych już nie widzi faktów;
nie jest więc rzeczą nadzwyczajną,
że za kwiat cudny bierze łajno.
A łajno śmierdzi, łajno rośnie,
w terroru przecudownej wiośnie,
aż w końcu staje się potęgą
i coraz wyżej pragnie sięgnąć.

Kiedy łaknący krwi mądrała
zaczyna cały świat rozwalać,
aby na gruzach tego świata
urzeczywistnić sen wariata,
gdy absolutnej chcąc równości,
wszystkim dokoła łamie kości
i nas pod straszne jarzmo włacza,
by zniszczyć instynkt posiadacza,
to jego wierni pretorianie
mają odmienne nieco zdanie
o swojej przyszłej perspektywie —
czemu się zresztą trudno dziwić.

Brudną i moką swą robotą
przecież parają się nie po to,
by takie odnieść stąd korzyści,
że obłąkańczy sen się ziści
i że im także głowy utną,

bowiem ten sen się kończy smutno.
Przeciwnie — oni *happy endu*
pragną, więc boją się obłądu.
Kiedy zwycięskie toczą boje
ze straszną reakcyjną hydrą,
to chcą mieć pewność, że na zawsze
zdobędą to, co hydrze wydrą.
Fanatyzm lśniący w wodza oku
straszliwy budzi w nich niepokój,
asceza zaś napawa trwogą,
że im zdobycze zabrać mogą.
I tak się oto kończy sojusz
teoretyka z lumpem, bo już,
gdy każdy własną chce iść drogą,
powstaje problem: Kto tu kogo?
O, Rewolucjo w Permanencji —
tyś mrzonką jest inteligencji,
a ten twój cały krwawy przerób
daje rezultat równy zeru!

Szmaciak chce władzy nie dla śmichu,
lecz dla bogactwa, dla przepychu,
chce mieć tytuły, forszę, włości
i w nosie przyszłość ma ludzkości!
Więc czeka na stosowny moment,
by stuknąć mędrca w główkę łomem
i miast utopii bezklasowej
zbudować feudalizm nowy.
Nowy — boć przecie z mędrca nauk
niejedno mu się spodobało —
koncentrak choćby, czyli łagier

Szmaciak uważa wprost za szlagier.

To także mu utkwiło w głowie,
że ludzkość również jest surowiec,
więc trzeba doić, strzyc to bydło,
a kiedy padnie, zrobić mydło.

Ożywia go zasada prosta:
z wszystkiego można szmal wydostać,
tak jak za okupacji z Żyda —
ach, jak ten trening mu się przydał,
a teraz piękne wyda plony
na cały naród rozszerzony!
I tak socjalizm w kraju naszym
osiągnął wyższe stadium — faszyzm.

Ach! ten poemat mój — rozdęty!
Trzeba w nim zrobić remanenty,
trzeba połowę zeń wyrzucić,
niejedno zmienić, wszystko skrócić,
ten straszny bełkot idioty
na poetyckie zmienić wzloty,
ażeby stał się do strawienia!
Lecz jak tu rzeczywistość zmieniać?
Jak tu sfalszować doświadczenie?
Nie! mowy nie ma! Nic nie zmienię,
nic nie wyrzucę! Bo widzicie —
poemat ten to samo życie!

Dosyć dygresji. Czas do rzeczy.
Chociaż rozsądek temu przeczy,
Szmaciak się bardzo zląkł Deptały.
Jego nieufny mózdzek mały

opanowuje podejrzenie,
że za tym wydarzeniem blahym
ktoś groźny kryje się szalenie,
ktoś, kto zna tajemnicę blachy,
i gdy mu gęby się nie zatka,
potworne złoży doniesienie,
po którym urwie się dojenie
i Szmaciak skończy jak Zawadka.

Do diabła! Ten półgłówek Rurka
wciąż sterczy przy tych swoich kurkach,
nie wykazując nic czujności!
Straszliwie to Szmaciaka złości.
Przyjąć Deptałę do roboty —
toż to był pomysł idioty!
Czyżby już wyszło mu z pamięci,
jak ten im pod butami rzeził,
jak nagle strasznym głosem zawył
i spojrzał na nich ślipiem krwawym?!
I on takiego trzymał zbója!
O, Rurka, tyś jest kawał chuja!

Lecz co się stało, nie odstanie!
Teraz jest ważne niesłuchanie,
żeby coś tutaj zachachmęcić,
niby okazać dobre chęci,
parę obietnic złożyć mgliście,
nawet dać awans szantażyście —
sprawa jest przecież oczywista,
że jest Deptała szantażysta!
Inaczej by się tu nie kręcił,

nie niuchał swoim chamskim nosem,
co by tu można wytargować,
ale poleciał wprost z donosem.

A jeśli tym się właśnie zdradzi,
że mu okaże nagle serce?
Szmaciak się bardzo zafrasował
i w wielkiej znalazł się rozterce.
Jeśli on nie wie, że jest w znowie,
a tym awansem mu dopowie,
że przy tych złotodajnych kurkach
przyssany był nie tylko Rurka?
Może by raczej zatem donos
na Rurkę złożyć z wyprzedzeniem,
że niby sam te kurki wkręcił,
aby społeczne kraść nam mienie?
Zmówić się z Bucem i z Maczugą
i z mety do więzienia, lu go!

Ale to byłaby afera!
Szmaciak by znów orderzy zbierał,
że taki czujny zeń gospodarz...
Trochę tych kurków wprowadzie szkoda...
Lecz jeśli ma karierą płacić?
Trudno, niech trochę lepiej straci,
a gdy niebezpieczeństwo minie,
pewnie co znowu się nawinie.

Kopernikańska ta idea,
że krzyknie sam: „Łapaj złodzieja!”
i zwierzchność tym zupełnie zmyli,
przechyla szalę w jednej chwili.

Szmaciak już więcej się nie waha,
już przed Deptałą nie ma stracha,
także i tego się nie boi,
kto z tyłu za Deptałą stoi,
bo pogrążając przyjaciela,
natychmiast siebie tym wybiela.
Tej kombinacji idiotyzm
nie jest bynajmniej rzeczą nową —
tak zawsze bywa, gdy despotyzm
z kretyna się sprzymierzy głową.

Że Rurkę zgnoi w kryminale,
Szmaciak skrupułów nie ma wcale,
bowiem wyznaje on zasadę:
ja na lojalność lagę kładę!
Owszem, gdy idziem jedną drogą,
to kumpel kumpla zawsze kryje.
Drogi się jednak rozejść mogą,
a wtedy jest na wierzchu czyje?
Jeśli wybierasz wierzch, a nie dno,
w refleksie szybszym leży sedno,
z tego więc względu w gównno właczasz
tego, co się nie kapnie na czas.
Drogi rozeszły się, więc teraz
niech ten, co frajer, cięgi zbiera!
Szmaciak ma dość. Ach, złości go już
ten podejrzany z Rurką sojusz,
bowiem jak była o tym mowa,
właśnie zaczęła się Odnowa
i nasz bohater pójść zapragnął
w kierunku, który wskazał Bagno.

W tym czasie Bagno — Polak szczerzy —
był pies straszliwy na afery
i z krzykiem: „Polskę Żyd rozkrada!”
mnóstwo swym wrogom ciosów zadał.
W tropieniu przestępstw gospodarczych
tak poniósł go szlachetny zapal,
że się dopiero opamiętał,
gdy się za własną rękę złapał.
Omal nie potknął się na mięsie.
Lecz w tym nieszczęściu miał on szczęście,
że w porę zdjął świadkowi głowę,
przez co mu całkiem odjął mowę.

Swą dobrą ocaliwszy sławę,
generał wzywa na odprawę
wierną drużynę i tak rzecze:
„Nic mi nieobce, co człowiecze,
i dobrze o tym wiesz, drużyno,
jak lubię baby, śpiewy, wino,
palbę polowań, biesiad rozgwar —
słowem, powiedzieć o mnie można:
używam życia pełną paszczą —
hucznie, z przytupem i hulaszczol!
Lecz dziś nie pora na zabawki!
Gra toczy się o wielkie stawki
i wkrótce bitwa się rozhula,
gdzie stawką będzie cała pula!
Gdy ma nam paść PRL do stóp,
zbrodniczym głupstwem jest po prostu
roztrwaniać siły na grabieże
tego, co się i tak zabierze!

Robi to bardzo złe wrażenie,
a ja morale mam dziś w cenie,
ojczyznę, honor i te rzeczy.
Chociaż to mej naturze przeczy,
zwinąłem konto swe w Zurichu
(a mógłbym mieć je wciąż po cichu),
bo wiem, że w świecie pełnym złości
nie dość jest nigdy przezorności!
Wszędzie mięsiste węższą nosy,
w powietrzu kłębią się donosy —
nie daj Bóg, dojdzie coś do Gnoma!
Przestanie bredzić wnet o komach,
bo jak go znamy nie od dzisiaj,
na punkcie afer ma on hysia!
Nie upilnuje go Walerek,
dymisji pójdzie zaraz szereg,
będzie tupanie, i gotowa
zawalić cała się Odnowa!

By zwalczyć Żyda-aferzystę,
musimy więc mieć ręce czyste!
Zatem słuchajcie, dzieci moje:
wstrzymajcie wy się z tym rozbojem,
nim ostateczne rozwiązanie
nie da nam Polski we władanie!
Od dzisiaj żądam cnoty od was
i daję generalskie słowo,
że ten, kto zlekceważy rozkaz,
zapłaci, jak Wawrzecki, głową!”

Te twarde słowa generała

dotarli wkrótce i do Pcimia
i Szmaciak sobie zakarbował
w pamięci, że tu żartów nie ma,
że interesa zwijać trza by...
Niestety! Człowiek jest tak słaby!
Sił nie ma odciąć się od cyca...
a zresztą, kogóż to zachwyca?
Więc zamiast działać gnuśniał błogo...
Wiele kosztować mogło to go.
Na szczęście zetknął się z upiorem
i się obudził w samą porę.

Już gniewem płoną oczka małe.
Już groźnie łypią na Deptałę,
już pierś mu wzdyma oburzenie
na wredne, chamskie to nasienie.

Myśląc, że bonza wciąż łaskawszy,
Deptać, się nie rozeznawszy,
o swojej krzywdzie zaczął właśnie.
A Szmaciak nagle jak nie wrzaśnie:
„Czego tu skamlesz, ty ladaco?!
I tak za wiele tobie płacą!
Znam ja was dobrze, obiboki,
wy, socjalizmu gonokoki!
Bo tylko syf się wielki szerzy
z waszej gnuśności i kradzieży!
Ty bumelancie! brakorobie!
Cóż ty właściwie myślisz sobie,
że mi tu trujesz o wyzysku?!
Należy ci się, lecz... po pysku,

boś jest śmierdzący leń i łobuz!
Ach! Przydałby się pracy obóz,
by tam powsadzać część hołoty,
co nam interes psuje złoty!

Czy wiesz, jak przez to twoje draństwo
nasze ludowe cierpi państwo,
jak na tym gospodarka traci,
kiedy się władza mniej bogaci?
Gdy kradniesz gwóźdź lub drutu szpulę,
uszczuplasz przez to całą pulę.
A pula nie jest do kradzieży,
pula się cała nam należy,
nam — czyli państwu, Polsce właśnie,
bo my to polskie państwo jaśnie!
My tutaj rządym i my dzielim,
bez nas by wszystko diabli wzięli,
dlatego — gdy się nas okrada,
to właśnie jest ojczyzny zdrada!
To jest potworność! To ohyda!
To zbrodnia godna tylko Żyda!
Ty ordynarna kreaturo!
Jak śmiesz nachodzić moje biuro
i opowiadać niecne blagi
mnie, co państwowej sprawy wagi
na głowie mam, mnie, co od rana
o kolosalnych myślę planach
i tak mój cenny mózg wysilam,
że może trzasnąć lada chwila?!

Czy wiesz, że ja mam wielką wizję,

by stworzyć pcimską telewizję,
a tam, gdzie dziś się pasą owce,
zbudować PEWEX i wieżowce?
Ty myślisz: Pcim to zwykła dziura —
a ja tu zaplanuję uran
i wielki przemysł wnet powstanie!
Ja autostrady mam tu w planie
do obu Bździn i do Psiej Trawki,
a także regulację Szczawki,
siłownię-gigant, port, lotnisko,
muzea, uniwersytet — wszystko!
Ja chcę Pcim podnieść, uszczęśliwić,
ja chcę nim cały świat zadziwić!

Lecz po cóż ja ci mówię o tym?
Czyś ty jest zdolny, ciemna maso,
co gonisz tylko za kiełbasą,
zrozumieć, co to jest patriotyzm?!
Gdy słyszysz «Polska», co kojarzy
ci się z tym słowem, o czym marzysz?!
Nędzniku, marzysz wciąż o fusze,
a gdybyś miał wznioślejszą duszę,
to pojąłbyś ten ogrom zadań,
co na narodu barki spada
i wnet ochoczo byś go dźwigał!
Ale ty jesteś jak ostryga,
jak płaz w skorupie lub jak glista —
przyziemny, mały egoista!
Nierób! Bumelant i zakąła!
Czy wiesz ty, co ci Partia dała?
Że gdyby nie Ludowa Władza,

to ty byś jeszcze w łapciach chadzał,
a wokół zaś byłyby błota,
nędza, zabobon i ciemnota?!

O, bracie! Ty byś za sanacji
po prostu dostał tu wariacji!
Drobiazgu miałbyś szesnaścioro,
zapałkę dzieliłbyś na czworo,
cały dzień tyrałbyś w kieracie,
a nocą sypiał w kurnej chacie!
A teraz, nędzny obiboku,
powiedz, w czym mieszkasz? Mieszkasz w bloku!
A kto tych domów wzniósł ogromy?
No, proszę, kto wzniósł? Właśnie — to my!

Co?! Twierdzić śmiesz, że dziesięć roków
już na mieszkanie czekasz w bloku,
a mieszkasz na przedmieściu w norze
z wspólną wygodką?! Ty potworze!
We łbie ci miesza się od wódki!
Lat dziesięć to jest termin krótki!
I jakie będziesz miał widoki,
gdy zbudujemy wreszcie bloki!
Ty byś chciał wszystko mieć od zaraz,
a czy się w pracy pilnie starasz?
Czy wykonujesz plan z nadwyżką?
Od tego wszak zależy wszystko!
I Partia ci powtarza stale,
żeś swego losu jest kowalem!
Co więcej, obowiązkiem twoim
jest w pracy dwoić się i troić,

bowiem tyś jest dłużnikiem państwa,
co wyzwoliło cię z poddaństwa
i ci stworzyło pracy miejsce,
co jest niezwykłym dobrodziejstwem!
Lecz twa pazyrność nie zna granic!
O, ty byś chciał mieć wszystko za nic!
Jęczysz, że tyrasz na trzy zmiany.
Ty chciałbyś na dwie?! No, kochany,
doprawdy ty masz muchy w nosie!
A gdyby trzeba na zmian osiem?
Dla dobra Polski?... Dla Ojczyzny?...

Popatrz w swe serce sam i przyznaj,
że gdy ojczyzna jest w potrzebie,
nie żal jej ofiarować siebie!

A ona w wielkiej jest potrzebie!
Liczy na ciebie! Wierzy w ciebie!
Sam kombinezon bym przyodział,
lecz jest niezbędny pracy podział.
Gdy jeden wiosłem macha żwawo,
drugi kieruje wtedy nawa,
na tym się świata ład opiera,
że jeden sieje, drugi zbiera.
Owca się sama nie ostrzyże,
krowa się nie wydoi sama;
a znów nie ostrzyc — cóż za męka!
a nie wydoić — co za dramat!

Więc kiedy się na ciebie spojrzę,
boli zarazem mnie i wścieka,
że ty ojczyźnie swej najdroższej
nie dajesz pełnej normy mleka!”

Szmaciak w okropne wpadł przejęcie,
już w to, co mówi, wierzy święcie;
na plagę narodowych przywar
gromami rzuca, pomsty wzywa,
już nad nieszczęsną biada Polską,
co znowu staje się warcholską
i niczym istny pcimski Katon
ostro rozprawia się z prywatą.
Straszny ogarnia go słowotok,
z ust płynie mu wezbrany potok;
zaklina, drwi, sumieniem wstrząsa,
aż pysk mu cały stanął w pąsach.

Kiedy tak Szmaciak grzmi w ferworze,
Deptąła gębę wciąż rozdziawia,
bo nijak pojąć on nie może,
o czym sekretarz tak rozprawia.
Gdy tylko Szmaciak głośniej ryknie,
to on się kuli przed tym rykiem
i myśli sobie, że pewnikiem
nic stąd dobrego nie wyniknie.

Szmaciak się zmęczył i zasapał,
wystygł w nim krasomówczy zapal.
Nastała cisza, a w tej ciszy
Deptąła propozycję słyszy:
„A teraz, towarzyszu, może
wy byście tak o dyrektorze
coś nam powiedzieć mogli szerzej...
Bo w gruncie rzeczy ja wam wierzę...
Zdarzają się przegięcia pały...

Cóż, ustrój mamy doskonały,
lecz ludzie!... Ba, nawet i w kadrach
tkwi czasem obrzydliwa zadra.
Jątrzy, zarazy jest ogniskiem...
Lecz wy mi teraz przede wszystkim
powiedzcie, drogi towarzyszu,
bo już z niejednej strony słyszę,
że źle się dzieje w kombinacie,
że wy tam gdzieś uruchamiacie
lewą produkcję i że nie kto
inny, a właśnie sam dyrektor
produkcję wam narzucił ową...
Wy się nie bójcie! Daję słowo —
wszystko zostanie między nami!
Ja także donosicielami
głęboko gardzę! Ale wiedzcie,
tu dobro wchodzi w grę społeczne
i na wysokim swym urzędzie
muszę to dobro mieć na względzie!
Mam tu niejedno doniesienie...
Nazwisk wam wszystkich nie wymienię,
tyle ich! A więc dla sprawdzenia
chcę od was także doniesienia.
Że czujną troskę wykażecie,
Partia się wam odwdzięczy przecie!
Zresztą, już wołam Wylizucha!
Wy mówcie, a on będzie słuchał
i wszystko spisze na maszynie,
wy podpiszecie zaś jedynie!
I... jeszcze taka rada moja:
Nie osłaniajcie dyrektora!”

Pomysł kretyński, jak się rzekło.
Lecz skąd nienawiść taką wściekłą
Szmaciak odczuwał był do Rurki?
Doili wszak te same kurki,
szli ręka w rękę, by się zdało,
a jednak tu nie wszystko grało.
Poszło o drobiazg. Lecz drobiazgi
są jak wbijane w palce drzazgi —
ot, niby fraszka nieszkodliwa,
lecz jaki ciało ból przeszywa,
jak wszystkie nerwy dziko wyją,
gdy pod paznokiec drzazgę wbiją!

Gdy chcesz genezy dociec świństwa,
to musisz sięgnąć do dzieciństwa.
Szmaciak, Maczuga, Buc i Rurka
biegali razem po podwórkach
w małym miasteczku, zwanym Skisłe.
Życie pędzili niezawisłe,
albowiem chłopców tych gromadka
w szkole bywała tylko z rzadka.
Woleli raczej bąki zbijać.
W mieście nie było na nich kija,
bo byli szkodni, czelni, sprytni
i mocni w nogach — nieuchwytni.
Nieraz prawdziwe polowanie
robiono, by im sprawić lanie,
lecz nadaremnie, bo jak lisy
przebiegłe były to urwisy.

Przewodził całej bandzie Rurka —
postrach straganów, król podwórka.
Rurka miał umysł chłodny, ścisły,
więc niebywałe miał pomysły,
które — przy kumpli swych zachwycie —
zwykł był natychmiast wcielać w życie.
Z wszystkich eskapad tych aliści
głównie wyciągał sam korzyści,
gdyż już wychodził z założenia,
że jest stworzony do dojenia.
Maczugę miał za adiutanta;
był niewątpliwy to awantaż,
bowiem Maczuga, raczej matoł,
z wielkich bicepsów słynął za to,
na wodza przeto mógł żądanie
każdemu spuścić tęgie lanie.
Zresztą Maczuga mordobicie
uwielbiał chyba ponad życie.
Gdy dopadł w kącie gdzieś fajtlapę,
to tak mu preparował japę,
że tamten chodził cały w guzach.
Toteż go miano za łobuza.
Buc był ponury, raczej słaby,
lecz go lubiły za to baby
z bazaru, bowiem uważały,
że to sierota jest nieśmiały.
Pupilkiem będąc zaś bazaru,
miał szczeniak dostęp do towaru,
a to w rachubach wodza grało
rolę bynajmniej nie tak małą.
Ponadto Buc, przy nikłych kształtach,

potrafił zręczny być jak małpa.

Ostatni z owej czwórki, Szmaciak,
żadnemu z kumpli nie mógł sprostać
w talentach, lecz że się przyczepił
do bandy, więc i w bandzie został.
Grubawy, nieco ślamazarny,
był do ich zabaw kompan marny.
Łaził tam, gdzie go nikt nie prosił,
szalenie lubił też donosić
jednym na drugich. Gdy się gierka
powiodła, w ślipkach miał iskierki,
a gdy dostawał za to w ucho,
stawał się strasznym podlizuchą.

Maczuga go traktował twardo,
Rurka — z ironią i pogardą,
mierzył go, lecz zarazem śmieszył.
Szmaciak się tym niezwykle peszył.
Jedynie z Bucem trzymał sztamę,
gdyż gusta mieli takie same,
lubili bowiem iść w ustronie,
do szopy pełnej pajęczyny,
by w niej ukradkiem walić konie
przez dwie, a nawet trzy godziny.
Lecz Szmaciak nad ten autonierząd
przedkładał był dręczenie zwierząt.
Więc w stawie żaby łowił z Bucem,
potem je do ogniska wrzucał,
by patrzeć, jak se te robole
radzą w odmiennym tak żywiole.

Kotom przypalał pysk nad świecą,
wykłuwał ślepia — niech nie świecą! —
lub też je wiązał za ogony —
niech ciągną się w przeciwne strony.

Rurka dręczenie żab i kotów
miał za zabawę idiotów —
wprost przyprawiały go o mdłości
te dziwne chłopca namiętności.
„Z tego się — mawiał — można zrzygać!
I cóż ci z tego przyjdzie? Figa!
Lepiej byś zabił i zdarł skórkę —
lecz co tu gadać z wiejskim burkiem!”

Raz im na jabłka przyszła chrapka,
wyprawę robią więc po jabłka,
lecz nie do sadu, a na bazar,
bo Rurka wielce lubił hazard.
Wmieszali się w tłum gęsty kmiotów.
Rurka dał znak. Buc był już gotów,
rzuca petardę. Zamieszanie
robi się wprost nieopisane.
Tymczasem chłopcy jabłka wędzą
i ze zdobyczą do bram pędzą.
Nim tępi chłopci się spostrzegli,
już znikli gdzieś, już się rozbiegli.
Ach, goń tu w polu za wiatrami!
Lecz Szmaciak pomiędzy wózkami
zaplątał się w czasie odwrotu
i utknął. Więc dopadli go tu,
a choć nie zdążył na straganie

nic zwędzić, straszne dostał lanie.

Z płaczem powraca na podwórko.

Tam wielka uczta. Wesół Rurka
z kradzionych jabłek pełnym pyskiem,
cynicznie rzuca weń ogryzkiem
i strasznie szydzi ze Szmaciaka,
że taka z niego jest pokraka.

„No, porycz sobie jeszcze, porycz!”

— Szmaciak straszliwą poczuł gorycz,
zaszył się w kąć i chlipał cicho.

Wreszcie pomyślał: pal to lichy!

Skurwysyn! Obrzydliwy drańgal!

Najpierw go w nieczne sprawy wciąga,

a potem jeszcze się nabija,

nawet mi jabłka nie dał, żmija!

Zaczął obmyślać zemsty plany.

Na drugi raz on już stragany

uprzędzi w porę! Złapią Rurę,

będą go długo bili w skórę,

aż tryśnie krew! A on z ukrycia

będzie się tym widokiem sycił.

Ale się na to nie odważył —

już wtedy nie posiadał twarzy.

Chłopcom już mijał rok piętnasty,

więc z wolna się kończyły żarty,

toteż się Rurka wziął na serio

za dochodową grę w „trzy karty”.

Ta gra, powszechnie w świecie znana,

jest doskonała na pejzana,

bo pojąć on nie może nijak,
że go się w butlę tu nabija.
Ciagle się dziwi: „Tfy! do czarta!
A dyć tu była inna karta!”

Rurka więc wciąż pieniążki zgarniał,
rzecz jednak się skończyła marnie,
bo czy ruch jakiś zrobił błędny,
czy się zamyślił, dość że nagle
wypadł z rękawa as żołędny
i musiał szybko zwijać żagle.

Spalony już był biedny Rurka.
Usiedli w kącie więc podwórka
i, co tu robić, smętnie radzą.
Wtem Szmaciak dumnie się nasadza
i mówi z głupkowatą miną:
„Daj mnie, ja teraz bank potrzymam,
z ochotą na to się odważę,
bo mnie nie znają na bazarze!”

Niedbale paląc papierosa,
Rurka mu z miejsca utarł nosa!
„Ty męczychujku! Ty wyskrobku!
Najmij się lepiej do wykopków!
Ty obsługiwać chcesz «trzy karty»?
Ty — taki jołop? Wolne żarty!”
I zaczął kpić, że bije pytę,
gdy on już — Rurka — ma kobitę,
i to kobitę pierwsza klasa.
To Stefka jest, córka Kulasa.
Jakie ma nóżki! A cyc jaki!

Niechaj przyświadczą mu chłopaki!
I tu mu błyska myśl genialna,
że Stefka jest wprost idealna —
co — idealna?! wręcz marzenie! —
by ją wystawiać na jelenie.
Tak powstał Rurki z Stefką tandem,
który niestety rozbił bandę,
bo gdy ją wodza pozbawiono,
każdy z nich poszedł swoją stroną.

Szmaciak się sam po Skisłem włóczył,
różnych szwindelków się nauczył,
lecz nie był żywot to wesoły,
przeważnie bowiem chodził goły.
Lecz wtem — okazja nadzwyczajna!
Szmaciak odkrywa Apfelbauma,
który nazywa się Jabłkowski.
Odtąd już żywot wiódł beztroski.

Przechodząc raz ulicą Szewską,
przypadkiem spotkał się ze Stefką.
„Cześć! Jak ci leci?” — i od słowa
zaczęła cała się rozmowa.
Stefka ma żal, że Rurka sknera,
że całą forszę jej zabiera,
a gdy się oddać mu jej wzbrania,
to spuszcza jej straszliwe lania.
Poszli do Stefki do mieszkania.
Szmaciak ją chytrze spoił wódką,
jeszcze się podroczyli krótko
i Stefka wolny przystęp dała

do sanktuarium swego ciała.

Dumny z zadanej Rurce klęski

Szmaciak się poczuł bardzo męski.

„Obronię cię przed tym bandziorem!”

Tu Rurka zjawił się nie w porę.

Rzekł lodowato: „Proszę bardzo!

Dmuchał ją, ale nie za darmo!

Jest na to stała stawka, bracie!”

Więc Szmaciak jęknął i zapłacił.

Spotkali się po latach paru.

Że przez ten czas oblicze kraju

pod każdym się zmieniło względem,

związali obaj się z Urzędem.

Rurka, co nad nim był w Urzędzie,

mawiał: „Z Szmaciaka nic nie będzie!”

Gdy ten przybiegał doń z donosem,

wybrzydzał długo, kręcił nosem,

wreszcie powiadał: „To zbyt miątkie!

To się nadaje na podpałkę!

Wiecznie ten klecha! Do znudzenia!

Pewnie ci nie dał rozgrzeszenia

za to, że w kwiecie swej młodości

waliłeś konia bez litości!”

Szmaciaka jednak nie przepędzał.

I tak się tej współpracy przędza

snuła przez lata. Wtem kataklizm —

wszystko zatrzęśło się i wali!

Straszliwa czystka jest w Urzędzie

i Rurkę z trzaskiem szef wywalił.

Szmaciak z opresji się wywinął,

szafując zręcznie wazeliną,
potem, jak wiemy, poszedł w górę,
dla Rurki czasy zaś ponure
nastąpiły. Musiał zwiewać z Skisła,
bo straszna chmura nad nim zwiśla.
Sadysta! zbir! zły duch Urzędu!
Nie miano dlań najmniejszych względów.
Szef, co mu dawał dyrektywy,
uderzył zaraz w ton płacziwy,
krzyczał, że się pozbawi życia,
bo Rurka robił nadużycia.
Więc choć sam kazał łamać kości,
najmniejszych nie miał stąd przykrości,
po latach zaś oklaski zbierał,
że humanista i liberał.

Rurka pyzieje na posadce
i sennie się nad biurkiem kiwa,
gdzie nudne tkwią specyfikacje —
wtem Szmaciak go do Pcimia wzywa.
Cóż znaczy gest ten niepojęty?
Czemuż nie szukał nad nim zemsty?
Czyżby aż tak był wielkoduszny,
że źle zapomniał, że przebaczył?!
Ach, my to między bajki włożmy,
bo było całkiem to inaczej!

Szmaciak porobił wielkie długi,
będąc zaś sekretarzem drugim,
bał się, że może do Wardęgi
dojść, że sfałszował sprytnie księgi,

i ten przepędzi go z hałasem,
a może także i ciupasem
odstawić każe do więzienia.
A że talenty Rurki cenił,
liczył, że Rurka mu za awans
pomoże zatuszować sprawę.
Rurka, którego plan nad plany
z pobytem w Pcimiu był związany,
wysłuchał go i rzekł: „Wynika
z tego, że czas wykończyć pryka!”
Więc ryć poczęli pod nim doły.
Wardęga, który do tej pory
z taką chytrą się nie spotkał,
z łatwością wpadał tam do środka.

Wardęga, człek podeszły w laty,
był komunistą starej daty
i słyszeć nie chciał nic o komach,
toteż podpadał wciąż u Gnoma.
Co więcej, stary kapepowiec,
uważał, że Gnom na manowiec
sprowadza całe społeczeństwo
i że pragmatyzm to błazeństwo,
że jest głupotą stanu racja,
bowiem jest ważna integracja,
a już za objaw miał sklerozy,
że nie powstają tu kołchozy.
„Do licha — mawiał — ten król kmiotów
socjalizm cały zepsuć gotów!
Zawsze był z niego niedołęga,
do pięt mi nawet nie dosięgał.

Miał rację Warski i Leszczyński,
że tu potrzebny jest Dzierżyński,
albowiem bez żelaznej miotły
wszystko rozniosą ciemne kmioty,
szczute przez kler i czarną sotnię,
i już niczego się nie dopnie,
bo zamiast elektryfikacji
powstają rządy ochlokracji!
Już wstrzymał, dureń, szereg budów,
więc cóż o rządach mówić ludu?!
Gdzie spojrzeć, wszędzie sklepikarze
swe czelne pokazują twarze,
najbardziej zaś w tym wszystkim wścieka,
że właściwego brak człowieka,
i to nie tylko u nas w kraju,
lecz i na wschodzie, w cudnym raju!”
I w oku zaraz łza mu szkli się,
a z piersi jęk wyrywa skargi,
bo mu czerwiejsze się od wisien
przypominają wodza wargi.

„Jak oni Go potraktowali!”
— myśli z goryczą. Lecz się fali
bólui nie podda. Choć weteran,
będzie swe wszystkie siły zbierał,
aby szaleństwu stawić stawić czoła.
Choć wie, że wiele sam nie zdoła,
lecz w końcu wyda rezultaty
przykład, który tu dał przed laty!

Dla naszych zuchów to wprost gratka
za wroga nieć takiego dziadka.

Toteż go Rurka bez kłopotów
dokoła palca wnet omotał.
Rurka wnet pojął, że pryk stary
pyszny i próżny jest bez miary,
że zaś cechuje autokrację
to, iż chce ona wciąż mieć rację,
i ten, kto nie chce wejść we wtór jej,
straszliwe wywołuje furie,
w zanadrzu plan miał cały gotów:
skłócić ze sobą dwóch despotów.
Większy mniejszego wtedy zetrze
i czasy wnet nastaną lepsze.
Zaczął podjudzać więc Wardęgę
na Gnoma — tego niedołęgę:
że chłopom daje on nawozy
zamiast powsadzać ich do kozy,
przez co nasz główny cel — kołchozy —
w odległą przyszłość się oddala,
że kapitalizm wręcz utrwala,
bowiem pozwala mieć walutę
ustrojów, które są zepsute,
że zamiast tępić wrogie stonki
ma w głowie pokos i kiszonki
i — co zakrawa już na faszyzm —
zaczął popierać w kraju naszym
produkcję drobnotowarową,
ową straszliwą tysiącglową
hydrę ohydnych badylarzy,
co o sanacji rządach marzy.
W dodatku, jak się stale słyszy,
tępi szlachetnych towarzyszy,

bo Berman oraz Minc Hilary,
ludowej władzy dwa filary,
leżą strzaskane Gnoma ręką
i nawet im nie wolno jęknąć!
Ach, jak tak wszystko pójdzie dalej,
to się socjalizm nam zawali!
Stąd obowiązkiem jest Wardęgi
śmiała krytyka niedołęgi!

Wardęga wnet w to wszystko wdał się,
zaczął na Gnoma grzmieć publicznie,
a Rurka tylko z tego śmiał się,
do KC śląc donosy liczne.
Lecz Gnom, czy że miał sentymenta
dla swoich dawnych towarzyszy,
czy że go śmieszył wprost Wardęga —
nic o dymisji nie chciał słyszeć.
Złościł się, wrzeszczał, tupał nogą,
lecz w końcu rzekł: „Zostawmy no go!
A gdy się jeszcze raz wychyli,
wyleci z Pcimia w jednej chwili!”

Wydarzeń rozwój dzielnym sprzyjał,
Gnom bowiem z Bagnem zawarł sojusz.
Pomyślał Rurka: „No, mam kija!
Teraz to ja załatwię go już!”

I oto wielki dzień nadchodzi:
konflikt na Bliskim wybuchł Wschodzie.
Choć wywołali go Arabi,
cały soc krzyknął: „Żyda zabij!,
bo to ohydny jest agresor,

który wbrew naszym interesom
miast dać się zjeść w sosie *harissa*
śmie swego państwa bronić dzisiaj!”

W przedziwnej analogii z Gnomem
Wardęga miał Żydówkę żonę.
Był szósty czerwca i Sabiny
w dniu tym wypadły urodziny.
Jak zwykle, było u Wardęgów
przyjęcie dla partyjnych kręgów,
był więc i Rurka ze Szmaciakiem.
Szmaciak obżerał się ze smakiem,
bo pipek, karp, pieczeń z gęsiny
ambicją były wprost Sabiny,
dzielnie też pejsachówkę doił,
więc żeby całkiem się nie spoił
— i z innych ważnych względów zresztą —
pomimo krzyków i protestów,
że to jest pora dla dziecięcia,
Rurka wyciągnął go z przyjęcia.
Gdy go holował przez ulice,
Szmaciak przyjęciem się zachwycił:
„Przyjemnie było u Żydówki!”
Rurka mu na to: „Ty półgłówku!
Ty chyba nie wiesz, co tu gra się!
Wardęgę kończym w krótkim czasie!”
I mu tłumaczy nie bez trudu,
jak dokonają tego cudu.

Depesza pędzi już do Gnoma:
„WARDEGA — ZDRAJCA (punkt i koma)

WYPRAWIŁ BAL I AŻ DO RANA
TOASTY WZNOSIŁ ZA DAJANA
OBECNI BYLI (punkty dwa tu)
PAWLAK Z PZG, SZWARC Z POWIATU
A Z PRN-U PYĆ I PACIAK
NA DYREKTYWY CZEKAM — SZMACIAK”.

Gdy tak Wardęgę z politycznej
sceny usunął w sposób dzielny,
w megalomanię popadł Rurka
i zaraz zrobił się bezczelny.
Kpił ze Szmaciaka w żywe oczy,
a gdy się ten na niego boczył,
to mówił doń: „Zakuta pało!
Czy wiesz, co by się z tobą stało,
jeślibyś we mnie nie miał druha?
Do dziś byś jeszcze konia ruchał,
a przed Wardęgą, tym pierdołą,
jak małpa skakałbyś wokoło!
Więc przestań krzywić głupi pysk swój
i mnie ucałuj, a nie pyskuj!”
Tu Szmaciak padał mu w ramiona
i wołał: „Chłopie, niech ja skonam!
Chociaż masz ozór zadzierzysty,
to my — kamraty! *Vivat Skisłe!*”

Lecz choć był Szmaciak tak otwarty,
z wolna zaczęły Rurki żarty
zachodzić mu za grubą skórę;
a wraz z tym myśli też ponure
zaczęły mu się we łbie lęgnąć,

że Rurka może władzy sięgnąć,
że go oszukać chce jak nieraz,
że to jest chciwiec, łotr i sknera,
że go kantuje przy podziale
dochodów z kombinatu stale,
że jest podstępny, groźnym gadem,
co zawsze knuje fałsz i zdradę.
I zaczął przemyśliwać nad tym,
jak by się pozbyć tego drania,
lecz przychodziły mu do głowy
tylko banalne rozwiązania:
nóż w plecy lub do władzy donos.
Tu jednak wciąż ostrzegał go nos,
że choć wilk nosił razy kilka,
to poniesiono też i wilka
i że ma Rurka też atuty,
żeby mu za to uszyć buty.
Westchnienie przeto z siebie wydał:
„Ach, drugi Rurka by się przydał!”
Nie mogąc nic wymyślić z sensem,
męczył się jak ze złym koszmarem,
aż się zdarzyły dwa afronty,
co przepełniły pełną czarę.

Pierwszego doznał nie od Rurki,
lecz od Marylki, jego córki.
Marylka, piękna Rurki córka,
w wir uciech płciowych dała nurka
i tak ten żywioł pokochała,
że bez ustanku nurkowała.
Toteż w playboyów pcimskich gronie

inaczej nie mówiono o niej
jak „Majka-Dmuch” lub „Majka-Rura”,
lub też po prostu: „Szał-nie-dziura”.

Puszczą się jak wszyscy diabli.
Ku oburzeniu też notabli
puściła z młodym się Wardęgą —
chłystkiem, co ślęczał wciąż nad księgą.
We łbie miał mętlik ten Wardęga —
nie pił, nie palił, tylko gęgał,
przez co w aferę szybko wdał się
antypaństwową. Szmaciak śmiał się,
patrzając, jak stary jak w ukropie
zwija się, by ratować chłopię.
„Nie to — pomyślał — jak mój Józek!
O, ten to ma już chody duże
i w MSW, i na uczelni!
Tak, bo są Szmaciakowie dzielni!”

Lecz myśl o zdobyciu Marylki
spokoju mu nie daje chwili.
Jak o największej myśli frajdzie,
żeby poskakać na tej srajdzie.
Niedawno opowiadał Zdzisiek:
„Te małe są najlepsze dzisiaj!
Bracie — powiada — niech jak skonam —
nie ty ją, ale ciebie ona!
A takie znają mnóstwo figur,
że się po prostu we łbie miga!”

Wkrótce nadarza się okazja,
bowiem u Rurków jest kolacja,

a po kolacji się zaczyna
sławny mecz Polska-Argentyna.
Zasiedli przy telewizorze.
Rurka usiedzieć ledwie może,
straszne ogarnia go przejęcie —
że Polska wygra, wierzy święcie.

Szmaciak, co siadł koło Marylki,
spokoju nie ma ani chwilki.
Marylka jest w sukience mini,
Szmaciak się z podniecenia ślini,
tak niebywale go podnieca
ten krągły biust, ta krótka kieca.

Tymczasem na małym ekranie
straszne odchodzi przepychanie,
bo nikt nie może strzelić gola —
ni Argentyńczyk, ni też Polak.
Pod bramkę ciągnie z piłką Żmuda.
Ach! musi, musi mu się udać!
Lecz oto nagle mu Gonzalez
znieńacka z prawej strony załazł.
Odbiera piłkę, pędem leci,
za nim Lubański, Corzo — trzeci,
przejmuje piłkę od Gonzala
i ją kieruje do Epsteina —
ach! waży się zwycięstwa szala!
I nagle — rany! Nadzwyczajne! —
To pięknym rajdem Gmoch się wdziera
pomiędzy nich, piłkę odbiera...

Wszystkich porywa ten rajd Gmocha,
tylko Szmaciaka ani trocha,
bo mózg zajęty ma czymś innym
i nagle — ruchem jakże gminnym —
znieńacka Majkę za najlepszą
część jej damskiego ciała złapał.
„Spieprzaj z łapami, stary wieprzu!”
— syknęła, bijąc go po łapach.

Strasznie Szmaciaka to ubodło.
Ach, zgnoiłby tę sukę podłą!
Ale, niestety, są układy,
a na układy nie ma rady!

Tymczasem w kuchni kłótnia wielka
wybuchła. Szmaciakowa Helka
za łby się wzięła z Rurki żoną —
ledwie te baby rozdzielono!

Tak jak to bywa w damskim świecie,
spór cały zaczął się od dzieci.
Helka zaczęła od przechwałek,
jakie pociechy ma wspaniałe,
jak Józek radzi sobie świetnie,
jak kończy studia wieloletnie,
właśnie zapisał się do partii.
O Lilkę także się nie martwi,
bo jest wzorowa uczennica,
nie jakaś siksa, latawica! —
Tu jadowicie na Rurkową
spojrzała. Ta jej wpadła w słowo:
„Nie dziw, że pęd ma do uczenia,

bo całkiem brak jej powodzenia —
taka jest tłusta i niemrawa!”
— „A twoja wszystkim się nadstawia!” —
krzyknęła wściekle Szmaciakowa.
No i od tego poszło słowa;
już straszny krzyk, we włosach palce,
w nieubłaganej dyszą walce,
z odsieczą już panowie pędzą,
lecz jak dać radę takim jędzom!
Z trudem je rozdzielili wielkim,
Szmaciak do wyjścia ciągnie Helkę,
a ta nogami się zapiéra
i krzyczy: „Zdzira! Zdzira! Zdzira!”

Ledwo ją wyprowadził za drzwi.
Tam szlochy, krzyki i wariacje.
By ją do domu wreszcie dowlec,
zrobił jej tęgi schabów oklep.
Wrócili więc w humorze kwaśnym.
Szmaciak się kładzie, rad by zasnąć,
lecz Helka w łóżku mu podtruwa,
że ta Rurkowa to Żydówka,
a córka ich to zwykła kurwa,
że chyba się z choinki urwał,
jeżeli ufa takim parchom...
Szmaciak jej sennie coś odwarknął.
Lecz w dusze mu zapadły słowa,
bo wielką złość do Majki chował.

Choć afront tej ohydnej bladzi,
co całkiem z nerw go wyprowadził,

Szmaciak by mógł znieść jeszcze z bólem,
to cóż z tym małpim zrobić królem,
istnym demonem złościwości,
który... nie, Szmaciak tej przykrości,
co tam — przykrości, tego noża,
który mu w serce wbił podstępnie,
nie, tego nigdy nie wybaczy
i pomści to lub z furii pęknie!
Złościwość to nie byle jaka!
To tak, jak by ci pacan bez dna,
co nic się na *fair-play'u* nie zna,
poniżej pasa dał kopniaka!

Raz — tak jak do szlachcica-brata —
zajechał sąsiad autokrata.
Szmaciak go wita, sadza w sanie
i wiezie go na polowanie.
Podszedłszy chytrze pod karmniki,
ubili z miejsca cztery dziki,
więc w doskonałym są humorze.
Pogoda rzeźwa, mróz na dworze,
trochę się przechadzali w borze,
lecz ich natury spokój znudził —
do miasta czas już, między ludzi!

U Rurków dzisiaj jest przyjęcie.
Przyjęcia Rurków mają wzięcie,
ceni miejscowa je elita,
więc autokrata tam zawita.
Już siedzą wszyscy przy kieliszkach,
na stole szampan, „żyto”, Pliska,

do tego jest pieczone prosię —
uczują, gwarzą i śmieją się.

Gdy się już spili autokraci,
jak zwykle u szlacheckiej braci
zaczęły straszne się przechwałki,
kogo herb lepszy, kogo — pałki.
Dziś bowiem u partyjnych w modzie
jest pleść koszałki o swym rodzie,
gdyż ci zaciekli demokraci
strasznie lgną do arystokracji.
Wpierw szarże były wielkim szykiem,
lecz dziś z nich każdy — pułkownikiem,
przejadł się także im doktorat,
więc na tytuły przyszła pora.

Pragnąc poniżyć pana brata,
podochocony autokrata
zaczął podbijać mu bębenka,
że jego żona z domu Pękał:
„Wiecie — Pękale herbu Walec”.
Lecz Szmaciak tu nie pękał wcale,
bowiem na imię miał Waldemar
i że czymś lepszym jest, też mniemał.
Rzucił więc jakby od niechcienia,
że ziemiańskiego pochodzenia
i że dzieciństwo spędził w dworze...

Rurka, co dotąd fason trzymał,
wybuchnął śmiechem, nie wytrzymał
i rzekł zjadliwie: „Czyż być może?
Odkąd to dworem jest chałupa?

Patrzcie go: Szmaciak herbu Dupa!”

I opowiadać autokracie
zaczął facecje o kamracie.

Widząc, że mąż popełnił *faux-pas*,
Rurkowa chce zagadać chłopca,
lecz są daremne dobre chęci,
bo już zepsute jest przyjęcie.
Szmaciak ma twarz koloru śniegu.
Nagle się zrywa i wybiega,
trzaskając drzwiami z furią wściekłą,
w oczach ma łzy, a w duszy — piekło!

O, bo są takie duszy piekła,
którym fizyczne nie dorówna!
Spróbuj przypomnieć Szmaciakowi,
że nie jest orłem, wylazł z gówna!
Tylko się potem nie dziw, bracie,
gdy cię w ulicy ciemnej stukną
lub też w UB na przesłuchaniu
będą cię dźgali w nerwu włókno!
Nie zapomina się tych rzeczy!
Ba, nawet czas ich nie uleczy,
bo przy nich kompleks mieć Edypa —
to bułka z masłem, pic i lipa!

Lecz już godzina zemsty bije —
Szmaciak ma na patelni gada
i wnet donosem mu Deptały
śmiertelne uderzenie zada!
Już konsekwencji się nie boi,

bo cóż mu zrobią, mili moi?
Maczuga iść tym samym torem
musi, bo także jest wmieszany
(Szmaciak poluje z prokurorem),
a Buca przyprze się do ściany
(z prezesem sądu grywa w oko,
i to w dodatku jak wysoko)!
O, Rurka, ty już nie masz lotów!
Jesteś umarlak! Jesteś gotów!

Więc jednak się znalazła rada!
Tej dziwce zaś już bobu zada!
Ach! weźmie ją pod obcas buta!
Będzie mu, ścierwo, ciągnąć druta,
będzie, rozdzana do rosołu,
tańczyła tu, na środku stołu,
pośród kieliszków i półmisek
i Szmaciak spierze ją po pysku,
po tej jej wyszczekanej japie,
jeśli coś stłucze lub rozchlapie!

Takie to mściwe snuł marzenia,
lecz żywioł życia wciąż się zmienia.
Gdyż okazuje się, że Rurka
nie tylko ślęczał przy swych kurkach,
ale załatwiał ważne sprawy —
i dziś telefon jest z Warszawy.
Słuchawkę podejmuje Stefa
i mówi szeptem: „To od szefa!”
Szmaciak poprawia szybko krawat,
na baczność przed słuchawką stawa,

bierze ją w rękę, drży mu ręka,
poci się, krztusi, wreszcie stęka:
„Tak, Szmaciak, słucham?” — wzdycha z ulgą,
bo w odpowiedzi słysząc bulgot,
a potem cisza... lecz po ciszy
nieubłagane „Łączę!” słyszy.
Szmaciak się do słuchawki kłania:
tak, zawsze był takiego zdania...
zaraz wykona... osobiście...
Co? Rurka nie był na tej liście?
Przepraszam, kaja się szalenie...
Tak, niewątpliwie przeoczenie...
ukarzę winnych... sam to wyśle...
co? ma nie karać?... oczywiście,
właśnie tak sądził... nie rozumie...
więc jednak karać?... coś tu szumi...
co?... jemu w głowie?... nie! na linii...
tak!... tak!... poniosą karę winni!
pisma nie wyśle... do nóg pada!... —
Słuchawkę, pocąc się, odkłada.
Jeszcze mu trochę drżą kolana —
na szczęście burza zażegnana!

Dziwna to rzecz: bo chociaż Szmaciak
nieokielzanym jest tyranem,
to zawsze ma on mokro w gaciach,
ilekroć staje przed swym panem.
Podwładnych swych za lada sprzeciw
zmiażdży, rozszarpie na kawały,
ale na myśl, że pan brwi zmarszczy,
robi pokorny się i mały.

Jakiś atawizm tajemniczy
musi się kryć w tym wszystkim na dnie —
on z niższym nigdy się nie liczy,
przed wyższym zawsze na twarz padnie!
Owszem, obszczeka go na boku,
a nawet nóż mu w plecy wbije —
lecz gdy się nagle pan odwróci,
Szmaciak już czołga się i wije.
Ach, bo to tylko są pozory —
ten absolutyzm samozwańczy!
Szmaciak jest w głębi duszy sługus
i tak, jak zechce pan, zatańczy!

Chcecie wyjaśnień? Bardzo proszę!
Rurka niezwykle w górę poszedł,
bo gdy kapnęła się centrala,
że gospodarka im nawala
i bigos może być nie lada,
mądrale, tkwiący wciąż przy biurku,
do specjalistów się od kurków
zaczęli zwracać po poradę.
Gdy Rurka dostał nominację,
to się skończyła animozja.
Szmaciak uznaje wyższe racje
i wie, że dalej tak nie można.
Omal nie cmoka Rurki w mankiet,
wydaje pożegnalny bankiet,
zamawia chór „Wesoła Bździna”,
hej, łza się kręcić już zaczyna!
I na bankiecie, po toastach,
kiedy wybiła już dwunasta

i wszyscy mieć zaczęli w czubie,
mówi do Rurki: „Tak cię lubię!
Tak rad bym ci przychylić nieba,
jeżeli zaszłaby potrzeba.

Na dowód, jak cię kocham, druhu,
pokażę dzieło ci złych duchów,
co chciały złamać ci karierę!
Lecz znasz uczucia moje szczerze —
wsadziłem świństwo na spód biurka,
zawsześ mi był najdroższy, Rurka!”

I pokazuje Rurce papier
pełen kulfonów, strasznych błędów:
„Popatrz, to jest Deptały donos,
mógł przecież trafić do Urzędu,
lecz ja podszedłem chytrze chama
i to plugastwo w rękę mamy,
a że dziś bankiet pożegnalny,
więc je publicznie tutaj spalmy!”

Rurka nie wierzył ani słowu,
lecz Szmaciakowi podziękował,
pomyślał tylko sobie w duchu:
„Ty skurwysynu! Ty świntuchu!
W ładną tyś wciągał mnie kabałę!
Niestety! Rączki masz za małe!
Chętnie bym cię po mordzie łupnął,
lecz strach dotykać takie gówno!”

Na tym ten rapsod o przyjaźni
możemy już zakończyć śmiało.
— No dobrze, dobrze! — wykrzykniecie —

ale co stało się z Deptałą?
Ach! któż to wie?! Czy to jest ważne?
Lepiej pilnujmy sprawy własnej.
Może mu na łeb spadła blacha?
Może ktoś w bójce go zaciachał?
A może, całkiem tak po prostu,
po pijanemu zleciał z mostu?
Dość, że słuch po nim gdzieś zaginął,
lecz wierzcie, nie jest to mą winą.

Uff! Wreszcie koniec retrospekcji!
Już się podnosił głos obiekcji,
że dość tych ględ! Jak długo można?!
Że to jest jakaś mania zdrożna,
te skoki w bok! Więc właśnie kończę
i już, jak dwa bieguny, łączę
początek z końcem opowieści...

W głowie Szmaciaka się nie mieści,
jak powstać mógł tak straszny skandal.
Przeklęta gryzipiórów banda
wpuściła czerń do Komitetu!
Gdzie tu Wylizuch?! Felczak gdzie tu?!

Słyszysz spokojny głos Deptały:
„Próżno ich wołasz! Te zakały
poszły już tam, gdzie wy pójdziecie,
bo sprawiedliwość jest na świecie
i choć myślałeś, żeś ją spętał,
ona powstaje nieugięta,

by cię dosięgnąć swoim mieczem —
przestań więc szumieć już, człowiecze!”

Gdy mówi tak, jedyne oko
zaczyna błyszczeć mu złowrogo.
Szmaciak się kuli pod tym wzrokiem,
poci się, blednie, łypie w boki —
ach, może już nadchodzi odsiecz,
może Maczuga wnet tu dotrze
z swych dzielnych chłopców rotą śmiałą,
która porządek zrobi pałą!

„Swych wiernych nie wypatruj zbirów! —
słyszysz znów groźny głos Deptały —
Dzień sądu jest! Więc się te zuchy
do mysiej nory pochowały!
Ty, bracie, lepiej odmów pacierz,
bo próżno ci testament robić —
przepadło zagrabione mienie
i czas do śmierci się sposobić!
Nadchodzi wreszcie czas zapłaty —
za wyzysk, nędzę, za cierpienia,
za nasze połamane gnaty
i życie pełne poniżenia;
za to, że pierwsza lepsza świnia
mogła pomiatać tu człowiekiem;
za to, coś ze mną ty wyczyniał,
gdyś mnie katował przed ćwierć wiekiem;
za to, żeś razem z swym kompanem
wyciskał siódme poty ze mnie;
za to, żeś jak wół tyrał, aby

kanaliom żyło się przyjemnie,
i za to jeszcze, żeś podstępem
unurzał w błocie mnie i zgnoił,
zmuszając, abym pisał donos —
zapłacisz dzisiaj życiem swoim!”

Szmaciak się przeląkł nie na żarty,
zrozumiał: idzie tu o życie,
więc na kolana padł i błaga:
„Wy tego przecież nie zrobicie!
Jam jest niewinny! Jam chciałem dobrze,
lecz ciągle mnie zmuszali ONI!
Jakże IM mogłem stawiać opór,
kiedym pistolet miał przy skroni?!
Zrozumcie, bracia, w tej podłości
inni szatani byli czynni!
Nie miecz karajcie, ale rękę —
to ICH karajcie, ONI winni!”

Robole, którzy wraz z Deptałą
się znajdowali w Komitecie,
ryknęli na to gromkim śmiechem,
a Szmaciak: „Czego się śmiejecie?”
Odrzekli mu wesołym chórem:
„Przestań te brednie pleść ponure!
Z nas już nie zrobisz idioty,
my dobrze wiemy: ONI — to ty
oraz podobne tobie bydło!
A że nam już doszczętnie zbrzydło
poić krwią własną takie trutnie,
rzeźnik ci zaraz głowę utnie!

Rzeźnik, nie kat — boś ty jest świnią!

A potem z ciebie tu masarze

pęta kiełbasy wnet uczynią,

które sprzedamy na bazarze

po znacznie obniżonej cenie.

Mięsa jest dzisiaj brak szalenie

i mówi o tym się bez przerwy,

że wykorzystać trza rezerwy!”

Szmaciak chce zemdleć, lecz nie może

i słyszy, jak już ostrzą noże! ...

Tu się na szczęście ze snu zbudził.

Ostrzenia dźwięk, który go złudził,

to tylko terkot telefonu.

Szmaciak na poły rozbudzony

przykłada słuchawkę do ucha

i machinalnie mówi: „Słucham?!”

Dzwoni Maczuga, pełen werwy:

„Waldek! Ja dzwonię tu bez przerwy

chyba godzinę! Co jest, bracie?! —

Wy dzwonek już nie odbieracie?

Słuchaj — powiada — już jest klawo!

Porozumiałem się z Warszawą

i proszę! Są golędziniacy!

Chłopie! Jak oni się przy pracy

zwijają! Lecą tylko wióry!

Pały, jak w bęben, wałą w skóry!

Ale dostają tu po głowie!

Powiada jeden mi kapitan:

«Zrobim im taką ścieżkę zdrowia,

że się odechce żyć bandytom!»
Bo oni to w szeregu pranie
zwą ścieżką zdrowia — fajne dranie!”

Szmaciak mu tutaj w słowo wpada,
lecz będąc na pół rozbudzony,
sam dobrze nie wie, o czym gada,
lecz tylko ryczy jak szalony:
„Bijcie ich, sieczcie, rznijcie! Śmiało!
Po zębach, nerach i po kroku!
Ale rozprawcie się z Deptałą!”

„Waldek, tyś chyba jeszcze w szoku!
— w słuchawkę krzyczy mu Maczuga —
albo wariata ze mnie strugasz?!
On zmarł wszak ubiegłego roku!”

Przyjemnie słyszeć prania rumor
choćby i uszami duszy.
Szmaciak więc znów odzyskał humor
i ku lodówce żwawo ruszył.
On elegancję dziś chromoli!
Więc wprost z butelki wódę goli.
Przez dłuższą chwilę słysząc gulgot,
a potem Szmaciak wzdycha z ulgą.

Lecz choć odporne są Szmaciaki
i mogą wchłonąć wody morze,
istnieje punkt krytyczny taki,
po którym Szmaciak też nie może.
Wtedy zjawiają się majaki,

roją się wokół białe myszki,
pysk robi się fioletowy
i ma się skłonność do zadyszki.
I oto mu się nagle jawią
upiory wykończonych istot,
niektóre z nich wciąż jeszcze krwawia,
inne czuć ziemią i zgnilizną.
I napierają groźnym tłumem,
rąk martwych wyciągając szpony,
oblędny strach za gardło chwyta
i Szmaciak ryczy jak szalony.
Cofa się, ale nadaremnie,
bo oni idą zwartą ławą,
ze wszystkich stron go osaczyli
i zaraz mścić się będą krwawo.
Szmaciak zastawia się meblami,
oni na wskroś przez meble kroczą,
wali po łbach żelazną sztabą —
oni się nawet nie zatoczą.
Na twarzy czuje lekki dotyk,
jakby tam końska mucha siadła.
Ach! Bo to nie są zwykli ludzie,
ale wyzute z sił widziadła.
Już zbliża się upiorny koniec,
już nie ucieknie im, nie ujdzie —
i Szmaciak zaczął wyć tak strasznie,
że się z okolic zbiegli ludzie.

Zadzwoił ktoś po pogotowie.
Kto? Tego nikt się już nie dowie.
Wchodzą dwaj rośli pielęgniarze,

mają kamienne tępe twarze,
w zbędne nie wdają się gadanie,
biorą go w chwyt. Już jest w kaftanie.
Szmaciak odjechał na sygnale,
lecz na tym się nie kończy wcale,
bo następnego dnia powraca.
Czeka go ciężka, trudna praca.

Komiteta przeniesiono blisko.
Prowizoryczne ma siedzisko
w gmachu Komendy Powiatowej
MO. W swym nowym gabinecie
Szmaciak posępny i surowy
protokół z zajęć w paluchach gniecie.

Za strach, za smak upokorzenia
zapłaci czelna mu hołota
i będzie dotąd gnić w więzieniach,
aż z niej zostanie kupa błota!
Zaś tym, którzy zostaną tyrać,
ach! lepiej by już i umierać,
bo w takie wtłoczy ich wędzidło,
że przez sto lat nie zipnie bydło.

Tak sobie Szmaciak mściwie roi.
Na korytarzu zaś już stoi
podwładnych tłum, aby bez zwłoki
stosowne zaraz podjąć kroki,
gdy tylko wódz rozkazy wyda.
Są to: milicji szef — Maczuga,
pan prokurator — Jan Szaruga
i bardzo tłusta biała gnida,

prezes powiatowego sądu.

Epilog

(w formie kupletów, śpiewanych przez chór
rozentuzjasmowanych czytelników)

Wszystko się jednak dobrze kończy,
choć się mogło skończyć źle!
Choć straszne rzeczy się zdarzyły,
lecz się zdarzyły tylko w śnie!

Wszystko się jednak dobrze kończy,
bowiem się nie zdarzyło nic!
A to straszliwe zagrożenie
to tylko humbug był i pic!

Wszystko się jednak dobrze kończy,
bo choć tragiczny powiał dech,
tragedia się zmieniła w farsę,
a przerażenie w gromki śmiech!

Wszystko się jednak dobrze kończy,
choć się w oku kręci ła!
Z ufnością patrzmy w mętną przyszłość,
bo przecież wszystko nadal trwa!

Wszystko się jednak dobrze kończy,
bo kończy się triumfem zła!
Niech żyje Szmaciak! Hurra! Hurra!!
A przed autorem — *chapeaux bas!*